



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena zł 1.—

Rok IX

Warszawa, 21 czerwca 1953 r.

Nr 25 (395)

Andrzej KRASIŃSKI

Przeciuw konserwatyzmowi i izolacji

UJARLO się, że każdorazowa uroczystość wręczenia nagród staje się okazją do szerokiej dyskusji nad palącymi zagadnieniami współczesnej twórczości artystycznej i naukowej katolików. Mnie przypało w udziale taką właśnie dyskusję zająć w roku bieżącym.

Jako temat dyskusji proponuję zagadnienie niedomagań i jakościowych braków, które zawsze stanowiły niebezpieczeństwo dla twórczości katolików, a w ostatnim czasie wystąpiły znowu, jak sądzę, ze szczególną wyrazistością, chociaż nieco w odmiennej formie. Jeśli w tej mojej krótkiej i z konieczności niepełnej analizie — którą mam nadzieję uzupełni i rozwinie dyskusja — dojdą do głosu akcenty ostrej krytyki, to nie tylko dlatego że stan faktyczny naszego dorobku do takiego stanowiska upoważnia, ale przede wszystkim dlatego, że brak krytyki był chyba jednym z głównych czynników zamknięcia się twórców katolickich w wąskim świecie zadowolenia z siebie i ze swego dzieła. Twórczość katolików bywała zbyt często bezkrytycznie przyjmowana przez opinię katolicką wyłącznie dlatego, że była formalnie katolicka i że, jak się to mówiło, była „w dobrym duchu”. W istocie zaś każda twórczość pretendująca do miana katolickiej, jako taka winna być właśnie szczególnie ostro i krytycznie oceniana, zarówno z punktu widzenia treści ideowej, jak formy, która z tą treścią związana jest nierozdzielnie.

Niepokój i nienasycenie leży u podstaw wszelkiej twórczości. Wolno więc chyba, aby właśnie dotkliwie poczucie nienasycenia było „leit motivem” tegorocznej dyskusji nad twórczością, której precyzyjnie tak bardzo nam wszystkim tu zebrany leża na sercu.

Ale mówiąc o pasywach, jeśli się chce być obiektywnym, nie trzeba zapominać o aktywach. Zaczniemy od nich.

W ciągu ostatnich kilku lat dokonali się w świadomości ogromnej większości katolików głęboki przełom. Ogólnie rzecz biorąc można stwierdzić, że przewidywana została pewna swoista forma pesymizmu, który przejawiał się w wątpliwości w sens wysiłków twórczych w obecnej chwili, w biernym obserwowaniu własnej przegranej przy równoczesnym przybieraniu pozory rzekomego heroizmu.

Łatwo na gruncie klasowym wyjaśnić i odkryć źródła owego pesymizmu. Nie sposób jednak dociec mu motywacji katolickiej. Jakkolwiek próbowano to czynić, ta ekwilibrystyka, rzecz prosta, zawiodła. Dlatego też trudności, jakie nieuchronnie spowodować musiał rewolucyjny wstrząs, nie zostały naruszyć podstaw tego, co nazywałbyśmy „wołą kultury” u katolików w Polsce, wołą nie teoretyczną, ale stałą i uporczywie realizowaną w konkretnym, codziennym życiu. Zamilkły jednostki, co można indywidually tłumaczyć i usprawiedliwiać. Abstrahując jednak od poszczególnych motywacji tej postawy często subiektywnie wystarczających, nikt nie ma już chyba wątpliwości, że to milczenie nie jest przejawem siły, lecz słabości. Że nie kryją się za nim żywe kulturotwórcze siły, ale przeżwanie wartości kultury zakwestionowanych lub wręcz przekreślonych przez życie.

Daremnie też próbowano tłumaczyć twórczy niedowład warunkami zewnętrznymi i mechanicznymi, w których rozwija się obecnie twórczość katolików. Obiektywne fakty mówią o czymś wręcz przeciwnym. Przedwojenne ciemniarskie warunki, w jakich żył intelektualny i artystyczny świat katolicki, dały właśnie jako rezultat nieśwład twórczy.

Po wojnie zaś właśnie stwierdzić można niewątpliwie, choć w naszym pojęciu boleśnie nie wystarczaające, ożywienie twórcze. Jest więc hipokryzją zwać winę na ograniczenia i trudności zewnętrzne. Za tym frazesem ukrywa się istotne źródło zła i udaremnia się w ten sposób próby jego wykorzenia.

Być może nie wszyscy z tu obecnych równie ostro oceniają te zjawiska, na pewno jednak wszyscy jesteśmy zgodni co do zasadniczej orientacji twórczości katolików, orientacji ku życiu i ku przyszłości.

Podstawą tej wspólnej płaszczyzny porozumienia jest nowa świadomość społeczno-polityczna z różną szybkością i z różną jasnością budząca się w społeczności katolików w ciągu kilku ostatnich lat — świadomość, że rewolucja i jej konsekwencje nie są jakimś przypadkowym „intermezzo” dziejowym, które nie powinno przerwać niezależnego od „przemiennych” i trywialnych spraw materialnych nurtu myśli człowieka, ale że w tej rewolucji wyrażają się i wydobywają na wierzch twórcze historyczne siły i że wszelki wysiłek świadomości ludzkiej lekceważący i odrywający się od historycznego podłoża jest skazany na niepowodzenie i uwiąd.

Tę przemianę w świadomości i trafna orientacja twórczości katolików, aczkolwiek jest faktem o podstawowym znaczeniu, bynajmniej nie przesądza jeszcze o wszystkim. Od uświadomienia sobie i przyjęcia zadań jest jeszcze długa droga do ich wykonania. Droga szczególnie długa, powiedziałabym dręcząca dłużej, w dziedzinie twórczości kulturowej. Tu bowiem o powodzeniu decyduje nie dedukcyjne uchwycenie prawdy, ale tej prawdy przeżycie w najdrobniejszych szczegółach.

Nie więc dziwnego, że przed tą właściwie zorientowaną twórczością stanęły ogromne trudności. Podjęciu współczesnej tematyki i problematyki nie zawsze towarzyszyło zastosowanie nowych narzędzi poznawczych, nie towarzyszyła jej niezbędna ostrość w widzeniu i ujmowaniu świata, nie towarzyszyła jej wreszcie śmiałość konieczna dla porzucenia złych a nietykalnych dotychczas w świecie katolickim wzorów. Nie zważam się powiedzieć, że mimo przemian w świadomości społeczno-politycznej katolików, nasze środowisko intelektualne i artystyczne tkwi w podobnym co przed wojną klimacie, który jak wówczas tak i dziś ciąży nad rozwojem tego życia i nie pozwala na pełniejsze wyzwalanie się twórczych sił.

ZANIM sprzecyżuje nieco bliżej, co mam na myśli mówiąc tak krytycznie o jakościowych brakach i niedomaganiach naszej twórczości oraz o dysproporcji, jaka zachodzi pomiędzy osiągnięciami a rzeczywistymi potrzebami współczesnego i przyszłego człowieka w socjalistycznym świecie — przedtem pragnąłbym wytłumaczyć się z tego zuchwałego akcentu, który zapewne niejednego na tej sali dotknął, akcentu mówiącego o złych wzorach i o ciążyącym nad katolickim życiem twórczym swoistym dusznym klimacie.

Nie myślę tu bynajmniej napaść na tania i niełódna tendencja odbrązawiania, ani też nerwowo wzbitych osiągnięć poszczególnych twórców, które odnotować trzeba zarówno w okresie międzywojennym, jak w latach powojennych, idzie mi natomiast o uchwycenie nowych ogólnych prawidłowości. Zestawmy Kossak-Szczukę z Dąbrowską, Młazewskiego z kimś, wiek ze współczesnym mu pokoleniem poetów niekatolickich. Jeśli takie porównania będziemy mnożyć a po

trafimy zdobyć się na bezstronność, musi uderzyć nas niezaprzeczalna niższość autorów katolickich. I to niższość bynajmniej nie w kategoriach wyłącznie formalnych, ale przede wszystkim w tym, co stanowi istotne kryterium twórczości artystycznej — w jej walorach poznawczych oraz w autentycznych na pięciach wzruszeń, jakie ta twórca jest zdolna wywoływać. Przedstawiony tu niekorzystny obraz powstał nie dlatego, że tak właśnie dobrane zostały nazwiska, zupełnie zresztą przygodnie tu rzucone. Od której strony nie spojrzeliśmy na tę sprawę, musimy dojść do podobnych wniosków. W literaturze tworzonej przez katolików zakorzenia się głęboko powierzchowna tendencyjność, intelektualizm, mdła boguczyzniana retoryka. Co gorsza, te cechy nie są związane wyłącznie ze schyłkowym pokoleniem międzywojennym, ale mają już dłuższą historię, dzięki czemu wytworzył się pewien zamknięty krąg między odbiorcą lubującym się w tych wątpliwych wartościach a twórcą utwierdzonym w jego postawie przez poczucie owego „zamówienia społecznego”.

Tak wytworzył się izolowany i duszny świat partykularnych wartości kulturowych, nie podlegających wewnętrznej krytyce, świat nie konfrontujący tych wartości z tymi, jakie powstawały poza jego obrębem. Co zaś było w tym najgroźniejsze i najtrudniejsze do przezwyciężenia, to to, że owa postawa izolacji i zadowolenia z siebie pozostawała argumentacją w ówczesnym i felsewim pojęciu poczucia odrębności światopoglądowej i próby wyrwania się z tej atmosfery były traktowane nieufnie, często wręcz poczytywane były za sprzeniewierzenie się katolicyzmowi.

Nie trzeba dowodzić, jakie było tło i funkcja społeczna tej atmosfery i tych tendencji, ani też przekonywać, że nie służyły one sprawie katolicyzmu, lecz przeciwnie, utrudniały dojście do głosu tkwiących w nim dynamicznych sił.

Stagnacja myśli i zanik twórczych odkrywczych wysiłków sprzyjały doskonałemu utrwaleniu nienaruszalności mieszczańskiego porządku, nie więc dziwnego, że w świecie, w którym ideałem panującym było łatwe życie bez pracy, także w dziedzinie kultury doszło do głosu swoiste rentierstwo, konsumowanie łatwego posiłku, unikanie wszystkiego, co może wywoływać jakieś napięcia ideowe. Jedyną nowością, jaka tolerowała ten świat, to eksperymenty formalne w nadziei, że w nich wyżyje się bez reszty wieczna pasja człowieka szukającego i że szukanie to nie naruszy błędnego spokoju.

Dobrze, pytamy dziś, ale co z tym wszystkim wspólnego miał katolicyzm? Czy to, czym w większym wypadkach karmiono przedwojną czytelnik katolickich wydawnictw i pism, albo raczej czym usypiano jego społeczne sumienie — było naprawdę katolicką literaturą i katolicką publicystyką?

W niedawno wydanych „Studiach i szkicach literackich” prof. Skwarczyńska pokusiła się po raz pierwszy badać określić, czym jest literatura katolicka w ścisłym, naukowym ujęciu. W swej analizie dochodzi ona do wniosku, że o katolickości utworu nie może decydować ani osoba autora, ani przeznaczenie dla odbiorców katolików, ani wreszcie zawartość pewnych treści katolickich. Według prof. Skwarczyńskiej na miano literatury katolickiej zasługują tylko taka, która opiera się o katolicką teorię rzeczywistości.

Spróbujmy teraz zastosować to kryterium do poddanej wyżej krytyce przedwojennej literatury. Na

pewno ogromna jej część nie wytrzyma tej próby i na tej zasadzie nie będzie mogła być zaliczona do literatury katolickiej. Czyż bowiem jest zgodny z katolickim poglądem na dramata człowieka i odpowiedzialność, jaka na nim ciąży, ów sielankowy, naiwnie dydaktyczny obraz świata, czy owe mdłe hagiografie? Na pewno nie.

Niezawodnie jakaś część przedwojennego dorobku wytrzyma to kryterium katolickości i oprze się przed krytyką. Nikt jednak bezstronny nie zaprzeczy, że — ogólnie biorąc — twórczość katolików obce były próby wstrząśnięcia tą duszną atmosferą bezproblemowości, słodkiego sentymentalizmu i mentorskiego moralizatorstwa.

ZASTANÓWMY się teraz z kolei nad zjawiskiem trwania złych tradycji, o których mówiliśmy, w życiu kulturalnym naszego środowiska katolickiego.

Pomijam tu wyżej poruszony problem absenteizmu, który przynajmniej w zasadzie został przezwyciężony, a który również podsycał był przez tradycję izolacji i bierności twórczej. Ale czyż i w tych przejawach twórczości, które w obecnej chwili manifestują się na zewnątrz, również nie ma śladów dawnych osłabiających twórczy dynamizm tendencji? Czyż i tu nie widać wyraźnie leku i niechęci przed rzetelnym trudem poznawczym?

Dlaczego na przykład faktycznie nie istnieje w Polsce sztuka religijna? Bo w rzeczywistości nie istnieje ją dzieła oddające głębokie przeżycia religijne plastycznymi środkami wyrazu. To zaś, co zmuszeni jesteśmy w tej dziedzinie uznać za osiągnięcie, to tylko poprawa formalnej jakości dzieł zdołających nasze Kościoły.

Nielepiej jest w dziedzinie pisarstwa. Podjęcie problematyki współczesnej w twórczości katolików jest niewątpliwie krokiem naprzód. Na tym terenie jednak bardziej niż gdziekolwiek indziej widoczna jest bezskuteczność stosowania dawnych wzorów i dawnych narzędzi. Jeśli o wysiłku odbudowy mówić będziemy krągłymi zdaniem ekliwicznych zachwytów, na pewno nie oddamy niczego z prawdy naszych dni, bo w naszej rzeczywistości na szczęście nie ma i na pewno nie będzie nic z sielanki. Również zupełnie nieskuteczna i skazana na niepowodzenie jest uproszczona tendencyjność, która nikogo nie jest w stanie przekonać. Na tych drogach istnieje poważne niebezpieczeństwo zagubienia istotnego sensu twórczości artystycznej. Kończy się ona tam, gdzie nie ma odkrywczego wysiłku świadomości, gdzie zamiast twórczości mamy do czynienia z wytwarzaniem według gotowego wzoru. Rzecz jasna lepiej, jeśli ten z góry powzięty wzór, ten schemat jest nowy a nie stary, jeśli bardziej odpowiada aktualnym potrzebom społecznym. Każdy jednak schemat, zarówno stary, jak nowy, stanowi śmiertelne zagrożenie dla sztuki.

W pewnym sensie analogiczne zjawiska obserwować można w dziedzinie naukowej twórczości katolików. Nie trudno stwierdzić wyraźną niechęć katolickich badaczy do zagadnień trudnych i drażliwych. Jeśli zaś ktoś podejmie takie tematy, nawiąże je w sposób nowy, krytyczny i twórczy, odbiegający od utartych wzorów oraz jeśli ostro stawią doniosłe problemy, spotyka się najczęściej z nieufnością i krytyką. Czasem wręcz poddaje się w wątpliwość jego dobre intencje. Cóż więc dziwnego, że tak wielu uczonych katolickich woli zajmować się przewężnym karstwem lub krocząc utartymi przez innych śladami. Dlatego też tak wiele podstawowych dla katolicyzmu zagadnień na próżno czeka na podjęcie.

W NUMERZE m. in.:

- Z. LICHNIAK — O sprawach ważnych
- M. ROSTWOROWSKI — O sytuacji w młodej poezji katolików
- I. RUTKIEWICZ — Błąd satanokratyzmu
- J. ZABŁOCKI — Rosenbergowie nadal liczą na nas
- T. POWIDZKI — Jan Jörgensen
- M. PIOWARCZYK — Dyktatura na wulkanie
- A. ROWICKA — Jeszcze o książce Lichniaka

AL E zakończmy już te utyskiwania i oderwijmy się od wwołanego tu czarnego obrazu atmosfery panującej w naszych katolickich środowiskach twórczych, by przystąpić do omówienia perspektyw przyszłości. W tym zakresie nie jestem bynajmniej pesymista. Istnieje moim zdaniem wiele danych do przypuszczeń, że stojmy lub stanąć możemy przed zmianą dotychczasowego niekorzystnego stanu rzeczy. Nie będę tu przywoływał na pamięć nie tak dawnego odrodzenia twórczych sił w katolicyzmie francuskim, które przyszło w momencie zupełnie nieoczekiwanym. W naszym wypadku nieco inne są podstawy optymizmu, inne i moim zdaniem bardziej umotywowane. Analizując niedomagania w naszym życiu twórczym starajmy się ukazać zależność, jaka zachodzi między tymi naszymi niedomaganiem a ogólną degeneracją mieszczańskiego świata. Jakkolwiek ciągle jeszcze odczuwamy na sobie ciężary przeszłości, naturalnym biegiem rzeczy, z upływem czasu staje się ono coraz mniejsze. Do koniury się przewartościowanie i odpadają te wszystkie treści, które są zmienne historycznie, związane z mioną epoką. Coraz bardziej świadomie sięgamy tylko do autentycznych katolickich zasad, nieznieszczalnych anachronicznych, zmieniających się historycznie nadbudów.

Z dokonywającego się pod wpływem życia przewartościowania musi zrodzić się nowa pasja etyczna, wyrażająca się przede wszystkim w zdecydowanej postawie społecznej. Zrodzić się musi także i rodzi się na pewno twórcza pasja poznawcza, która każe przeniknąć i podporządkować sobie świat, widząc w tym zadaniu konieczną drogę ku celom nad przyrodzonym.

Głęboka wiara w siły twórcze katolicyzmu i w perspektywy rozwoju wyrastającej na jego podłożu kultury nie zwalnia jednak od usilnych starań zmierzających do jak najszerszego urzeczywistnienia perspektyw tak optymistycznie odmalowanych.

Sądzę, że wokół problematyki konkretnych zadań w tej dziedzinie winna skoncentrować się dyskusja. Ażeby ją zapoczątkować, postaram się sformułować tu parę postulatów konkretnych, których spełnienie wydaje mi się koniecznym warunkiem odświeżenia dusznej atmosfery, jaka ciągle jeszcze ciąży nad naszymi twórczymi poczynaniami.

Pierwszy z nich, to krytyczna rewizja dorobku przeszłości. Trzeba koniecznie przełamać tę niechęć do kwestionowania odziedziczonych wartości kulturowych dlatego tylko, że są one uznane za katolickie. Mówi się przy tym często, że skoro inni poddają je krytyce, my musimy ich bronić.

Ta pełna hipokryzji postawa przynosiła wiele szkód katolicyzmowi, szczególnie zaś twórczości katolików. Wbrew niej właśnie katolicy zobowiązani są do szczególnej czujności wobec wszystkiego, co mieni się katolickie i często nadużywa tego miana. Tradycja, to suma wartości przez selekcjonowanych przez czas i trud pokoleń; jeśli ta krytyczna selekcja ustaje, tradycja zmienia się w balast. Toteż ostre, krytyczne spojrzenie na przeszłość jest niezbędnym warunkiem wszelkiej dalszej żywej twórczości.

Ale niedobór krytyki przeszłości łączy się w naszych środowiskach katolickich z nadmiarem i skwapliwością do krytyki wszystkiego, co nowe — i to jest drugi postulat, jaki chciałbym tu wysunąć. W istocie każda nowa myśl, każda śmiała próba postawienia problemu — spotyka się u nas z anarchozyczną krytyką — często wręcz odmawia się jej zgodności z zasadami katolicyzmu tylko dlatego, że jest nowością. Tak zupełnie, jakby

(Dokończenie na str. 11)

Zygmunt LICHNIAK

O SPRAWACH WAŻNYCH

(fragmenty przemówienia)

Na początku jedna prośba: prośba o cierpliwość. Mowa ma być mową twardą. Postaram się w niej zawrzeć ogólną analizę ostatniego okresu twórczości pisarzy katolickich, traktując ten problem jako problem symptomatyczny dla sytuacji ogólnej twórców katolickich.

Wychodząc ze stwierdzenia, że analiza dokonana przez Krasińskiego jest analizą słuszną, pragnąłbym jednak dodać, iż rację ma prof. Sławińska, gdy mówi o utrudnieniu od biuro tego referatu przez anonimowość jego zastrzeżeń. Ja więc ukonkretnię adres krytyki Krasińskiego i wskażę niegrzecznie palcem poszczególne indywidualności i poszczególne dzieła. Powtarzam: uznaję za słuszną tezę Krasińskiego, że okres od ostatniego naszego spotkania, gdy rok temu ubolewaliśmy nad absentyzmem, jest okresem dokonującej się wśród pisarzy katolickich przemiany.

W tym roku, który upłynął od naszej ostatniej narady, Wydawnictwo „Pax” oddało w ręce czytelników kilka pozycji, które są konkretem stwierdzającym ów przełom. Książki Janiny Kolendo, Łepkowskiego, Bednorza i Krzysztonia są dowodem przełomu. Abstrahując od oceny wyżej wymienionych przeze mnie pozycji stwierdzić trzeba, że był to szturm na współczesność, śmiała próba przełamania kunktatorskiej wstrzemięźliwości cechującej dotychczas naszych pisarzy.

Podobne zjawisko należy odnotować w poezji. Ukazał się tomik Kononowicza, który jest konkretną wypowiedzią polityczną poety. Ukazały się również wiersze poetów dawniej opornych wobec historycznych aktualii, a dziś umiejących już pisać wiersze na takie tematy, jak wybory w Polsce Ludowej czy Złot Młodzieży. Sumując te symptomy możemy stwierdzić, że teza o przełamaniu wstrzemięźliwości wobec tematyki współczesnej, teza o przełomie ideologicznym jest tezą uargumentowaną.

Trzeba tu dodać, że zmiana ta, to usuwanie dawnych głęboko zakorzenionych uprzedzeń nie jest procesem, który słabnie. Przeciwnie: nabiera on na sile. W redakcji wydawnictwa „Pax” znajdują się maszynopisy, przygotowywane do druku, w witrynach ukazały się nowe tytuły. Pisma, nowe artykuły, młoda szkoła pisarzy, jaka staje się wkładka „W młodych oczach”, opływa w materiały nie zawsze dojrzałe, ale za to silnie związane z współczesnością. Jest to proces wzrastającego dynamizmu. Tym bardziej uzasadnione jest twierdzenie, iż wydarzenia literackie ostatniego okresu są wyrazem twórczej przemiany, są wyrazem zbliżenia twórców katolickich do problematyki dnia współczesnego. Fakt ten stanowi krok na przód, dodaje nam siły.

Spójrzmy jednak na tę sprawę z punktu widzenia rachunku pokoleniowego. Musimy sobie powiedzieć, że z wyjątkiem Bednorza, wszyscy inni są debiutantami, są tymi, którzy dopiero swoją pierwszą książkę oddali czytelnikowi. Rok 1952—53, to rok inwazji młodych, rok odmłodzenia kadr twórców katolickich. Jest to jednocześnie rok, w którym pokolenie dojrzałe nie dało nam żadnego dzieła. Oczywiście, musimy dotrzeć w naszych rozważaniach do ujawnienia przyczyn tej stagnacji. W tej chwili przypomnijmy sobie, że czas już zde-

konspirować w sposób nawet niegrzeczny tezę o tzw. trudnościach obiektywnych, musimy osłabić sugestie, że są ludzie, którzy piszą, lecz tylko — „do szuflady”...

Polityka nasza na odcinku wydawniczym musi uwzględniać przede wszystkim aktualne potrzeby współczesnego katolika i brać pod uwagę funkcję społeczną dzieła. Z naszego punktu widzenia musimy być i jesteśmy przeciwni dziełom, których obiektywna funkcja społeczna sprowadza się do artystycznego proklamowania konserwatywnej wizji i oceny świata.

Zrozumienie aktualnych potrzeb i tendencji rozwojowych życia społecznego, konkretne zrozumienie i przeżywanie idei postępu, tu, w Polsce Ludowej, w roku 1953, w państwie budującym socjalizm — nakazuje większy sceptycyzm w ocenianiu dzieł, które zbyt daleko od tych spraw wzrastają, zbyt są wobec nich obojętne lub czasami nawet skażone utajoną wobec nich niechęcią.

Wróćmy do wyjściowej tezy o dokonującym się przełomie. Czas jej przeciwstawić tezę krytyczną. Oto ona: pomiędzy ważkością i istotnością dokonanego przełomu, jego znaczeniem społecznym a skalą reprezentowanych osiągnięć artystycznych istnieje duża dysproporcja nakazująca uznać te dzieła za niepełne i dalekie od ideologicznej skali przełomu. Dysproporcja pomiędzy śmiałością, odwagą, prawdziwością ideowego rozpoznanie świata przez młodych pisarzy a świadomością artystycznego wyboru jest duża. Ponieważ każde dzieło artystyczne jest organiczną jednością, fakt niedoboru artystycznego powoduje obniżenie wartości ideowej utworu. Protestowano tu przeciwko anonimowości zarzutów. Słusznie. Nie unikajmy konkretów. Nie lekajmy się nazwisk. Pokazujmy palcem.

Pozwolę tu sobie na bolesne może porównania. A więc najpierw konfrontacja młodego aktywu pisarskiego z pokoleniem starszym, które już dało nam swoje dzieła, dzieła nagrodzone, wpisane niejako do kanonu literatury katolickiej. Malewska, Gólabiew, Dobraczyński, Grabski. Jeśli z tymi pisarzami porównamy autorów „Szukając drogi”, „Ludzi znad zatok”, „Dzieci i bagaży” — to widzimy, że pokolenie młode jest zdystansowane; oczywiście inna to ranga talentu i zamierzeń artystycznych.

U pierwszych widać dużą skalę rzetelnego wysiłku. Młode pokolenie tego rzetelnego wysiłku uczyć się powinno. Ale czego się nie powinno uczyć? Nie negując tu wartości tych dzieł, wszystkie je można podciągnąć pod jedno zastrzeżenie. Mianowicie: tam gdzie próbują atakować problematykę aktualną zbywają ją, uchylają się od jasnego sądu artysty.

Dokonajmy teraz innej operacji. Zestawmy nasz młody aktyw pisarski z ich rówieśnikami o innym światopoglądzie, z młodymi marksistami. Proszę wziąć na jedną szalę Brauna, Czeszkę, Konwickiego, a na drugą dzieła wspomniane przeze mnie. Wyrok obiektywny i sprawiedliwy smutny jest dla młodego pokolenia pisarzy katolickich. Brak im dynamizmu i pasji. Dochodząc do diagnozy stwierdzam, że niezależnie od różnicy talentów brak w twórczości młodego pokolenia katolików wynikają ze stosowania starego uzbrojenia estetycznego do nowych zadań ideologicznych. Po prostu: pisarze ci przeżywszy akceptację postępowych idei społecznych nie potrafili jednakże znaleźć dla nich adekwatnego wyrazu. Wydaje im się, że można wypowiedzieć rzeczy nowe dawną metodą.

Ich zaangażowanie jest niejako półzaangażowaniem. Ich twórczość jest

sojalistyczna w ambicjach ideowych, a często mieszczańska, drobnomieszczańska czy wręcz burżuazyjna w formie. Ten podstawowy błąd znajduje swoje wielokrotne odbicia w konkretnie literackim. Rzućmy na te konkrety okiem.

NAJPIERW w prozie. Jednym z typowych błędów jest tu natrętny komentarz ideologiczny. Jest dzieło, a w tym dziele chodzi sobie na własnych nogach komentarz. Takim błędem nacechowana była twórcza powieść Janiny Kolendo „Szukając drogi”. Inni znowu starali się przez prostotę ujęcie problematyki dotrzeć do mas. Wychodząc ze słusznego założenia popadli jednak w błąd sentymentalizmu albo prostoty, która jest prostactwem. Ceniąc dokonanie, odwagę wystąpienia Bednorza, zarzucam mu jednak tę nadmierną prostotę. Inni, bojąc się i krążącego samodzielnego utworze komentarza, i nadmiernej prostoty — poszli na efektywną metodę panoramicznej malarskości. Przykładem: Łepkowski. Inni znowu, których poznaliśmy na łamach naszych pism, bojąc się wszelkiego wulgaryzmu — snobowali się na pseudoproustowską koncepcję malowania psychologicznych sylwetek, co w sumie dało schlebienie smaczkom mieszczaństwa, które tak rozczytywało się w Bandrowskim. Dla nas ostrzegawczym przykładem — Stadnicki.

Wszystkie te błędy wynikają z jednej przyczyny, a mianowicie z tego, że pisarze ci tkwią jeszcze w konwencjach przeżywania sztuki, tak jak ją przeżywał mieszczaństwo czasów przed wojennych. Jednocześnie niosą oni na swych barkach nowe koncepcje ideowe. Muszą się łamać.

Podobnie jest z poezją. O tyle jeszcze gorzej, że nie ma w poezji katolickiej pokolenia dojrzałego. Mamy do czynienia wyraźnie z ludźmi miodymi. Jakaż ich skala? Nie ma w naszej literaturze młodych talentów na miarę czasów, jakie przeżywamy. Nie mamy Norwida, nie mamy także Lieberta naszych dni, nie mamy Gaycego, Baczyńskiego. Trudno. Talentów się nie wyprodukuje. Patrzymy na to, co jest, zamiast gorzko wyliczać, czego nie ma.

Są talenty nie tej miary, co wyliczone, ale godne przecież borykania się z wielkością zadań.

Nie będę tu omawiał sprawy tragicznych grafomanów, którzy w okrutny sposób fałszowali ambicje

stworzenia poezji religijnej. Oto tylko dla ponurej rozrywki — jeden cytat z „Ufności grzesznika” niejakej panny Cz. Wolniewiczówny:

„Brak mi tchu, brak mi snu,
Ale nie brak wiary,
Brak rodziny, nie brak winy,
Bom ja grzesznik stary.
Wiem, że Bóg ze złych dróg
W tej starości mnie zawrócił,
Toteż pewnie będzie mógł
W miłosierdziu kary skrócić”.

To nie jest śmieszne, bo jest prawdziwe. Taką „poezją” karmiono wielu ludzi. Zacytujemy tylko jako pouczenie czterowiersz Staffa i dajmy miejsce innym sprawom:

„Darmo mozolisz się, błąd,
I kurzem książek mózg tuczysz.
Nie dasz nieśpiewny łbie rady,
Bo tego się nie nauczysz”.

Opuśćmy ten grząski teren bolesnej głupoty i ciemnoty poetyckiej. Zajmijmy się realnymi wysiłkami naszej kadry poetyckiej.

Odnotować trzeba ambitną próbę Kononowicza. Jego tomik pt. „W ramiach srebrnych rzek” jest odważnym przełamaniem lęku poezji katolickiej przed konkretem politycznym. Ale jest to jednocześnie tomik obarzony wieloma błędami. Za dużo tam „ziemi”, „pazurów” czy mglistych kategorii mitów słowiańsko-germańskich.

Mamy także próby uideologizowania czy nawet upolityczniania poezji przy zachowaniu wszystkich jej skandytryckich rekwizytów. Coś w rodzaju buduarowego wydania odezwy socjalistycznych. Przykładem tego, przewyższonego zresztą — choć bardzo opornie — błędu, jest praca poetycka Restworowskiego.

Mamy wreszcie — i to zjawisko najbardziej typowe — próby eskapicznego formalizmu u Łepkowskiego, Chranowskiego, Herberta i częściowo Bieszczadowskiego. O reszcie już wcześniej mówić w tej chwili. Jeszcze nie mają swego oblicza.

JAKIEŻ konkluzje ogólne? Naszą poezję, tak samo jak prozę ogranicza w jej rozwoju krąg nieprzezwycięzonych konwencji mieszczańskich. Myślę tu nie tylko o konwencjach estetycznych, lecz i intelektualnych. Dopóki trwać będzie półzaangażowana postawa powierzchownej akcep-

tacji praw naszego czasu, dopóty krąg ten będzie zaklętym kołem kre-dowym...

Problem mobilizowania świadomości jest problemem naczelny. Rewolucja czy ewolucja twórczości katolickiej jest uzależniona od rewolucji czy ewolucji świadomości społecznej katolików polskich.

To stwierdzenie każe sytuację w literaturze traktować jedynie jako pars pro toto, jako przykład i jako symptom.

Dlatego moja mowa — była twardą mową. Dlatego analiza dała obraz raczej ponury. Ale dlatego też wnioski dalekie są od pesymizmu. Nie mam zamiaru być Kassandrą w spodniach. Uważam za słuszną i konieczną stwierdzenie, że optymizm nasz jest również oparty o konkrety.

Optymizm ten wynika z przekonania, że obiektywny układ sytuacji, który spowodował przełom początkowy, będzie służył pogłębieniu się procesu zaangażowania katolików w dzieło ogólnych przemian świata i człowieka. Obiektywny układ sytuacji powodować musi coraz głębsze, coraz silniejsze przenikanie świadomości społecznej katolików ideą postępu społecznego i kulturalnego.

Oczywiście, proces ten musi być wsparty wysiłkiem aktywu rozumiejącego sens dziejącej się przemiany. O to trzeba walczyć.

Niech w zakończeniu wolno mi będzie przypomnieć — bez komentarzy, które już teraz wydają się zbyteczne — ważne słowa prof. Stefani Skwarczyńskiej z jej „Studiów i szkiców literackich”:

„Katolicyzm pisarza — katolicyzm świadomy i konsekwentny — rzuca go na tory walki o słuszną pracę człowieka. Równa się to walce o postęp, o lepszą przyszłość, o szybsze dojrzewanie procesów historycznych, równa się wierce w lepszą przyszłość i wiąże się z optymizmem wobec osiągnięć rozwojowych nie tylko jedno stki ludzkiej, lecz i jej warunków rozwojowych, związanych z sytuacją społeczną. Równa się to zerwaniu ze ślepyim kultem przeszłości, wiąże się z obowiązkiem krytycznego stosunku do aktualnej rzeczywistości, z czujnością wobec wszystkiego, co mogłoby jej wartościowym tendencjom zagrozić, równa się to śmiałości w postulowaniu rewolucyjnych przemian, jeżeli są one warunkiem realizowania istotnych wartości”.

Zygmunt Lichniak

Uroczystość wręczenia

Z GODNIE z 6-letnią tradycją również i tegoroczna uroczystość wręczenia fundowanych przez „Pax” nagród im. Włodzimierza Pietrzaka została połączona z omawianiem niektórych zagadnień dotyczących twórczości katolików w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Zebrań, które odbyło się w niedzielę 7 czerwca w Warszawie w lokalu liceum pod przewodnictwem św. Augustyna przewodniczyła prof. Stefania Skwarczyńska. Z gości obecni byli m. in.: ks. dziekan Wacław Bogucki, ks. prof. Michał Banach, ks. dr Piotr Chojnacki — prof. U. W., ks. prof. dr Eugeniusz Dąbrowski, ks. prof. dr Józef Iwanicki — rektor KUL-u, ks. kanclerz Wacław Jabłoński, ks. dr Józef Keller — prof. KUL-u, ks. prezes Antoni Lemparczyk, O. Robert Madeyski, ks. dr Wacław Radosz, ks. Alfons Sarrach, ks. Mieczysław Suwała, ks. dr Mieczysław Żywczyński — prof. KUL-u, Wanda Chylicka, Jan Dobraczyński,

Jan Dopatka, dr Janina Ender, Helena Galecka, Antoni Gólabiew, Józefa Golmontówna, Maria Gwiżdwska, Zbigniew Herbert, Maciej Kononowicz, dr Bronisława Lindert, Zofia Milewska, Maria Morstin-Gorska, dr Kalikst Morawski — prof. KUL-u, prof. Juliusz Nowak-Dłużewski, Kazimierz Piekut, Anna Reiterowa, dr Aleksander Rogalski, Zenon Skierski, dr Irena Sławińska — prof. KUL-u, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Stanisław Stomma, Stefania Suchowa i inni. Obecni byli również przedstawiciele młodzieży Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Po części oficjalnej, tj. wręczeniu nagród i przemówieniach laureatów oraz ks. Alfonsa Sarracha, jako jednego z wyróżnionych, Andrzej Krasiński wygłosił referat pt. „Przeciw konserwatyzmowi i izolacji”, który drukujemy w tym numerze. W dyskusji wzięli udział: prof. Irena Sławińska, ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski, Eugenia Ko-

biłńska, prof. Kalikst Morawski, Zygmunt Lichniak (tekst przemówienia podajemy w stenogramie), Mikołaj Restworowski (jego głos w dyskusji drukujemy obok), Alfred Gerard, Jerzy Stadnicki, Jan Dopatka, Tadeusz Kordyasz, Zygmunt Prószczyński.

Dyskusja miała ożywiony a niejednokrotnie mocno polemiczny charakter. Pod koniec zebrania prof. Stefania Skwarczyńska, Zygmunt Lichniak i referent dokonali podsumowania centralnych zagadnień, jakie się w trakcie przemówień wyłoniły.

Polemizując z niektórymi tezami referatu Krasińskiego, prof. Irena Sławińska podkreśliła zbyt ogólny niekonkretny charakter zarzutów wysuniętych przez referenta pod adresem współczesnych pisarzy katolickich w Polsce.

M. in. prof. Sławińska stwierdziła, że wiele akcentów krytycznych u

CZYTAJCIE
„SŁOWO POWSZECHNE”
PISMO CODZIENNE

Mikołaj ROSTWOROWSKI

O sytuacji w młodej poezji katolików

Z AZWYCZAJ zebrania tego typu co dzisiejsze sprzyjają pielęgnowaniu nastrojów odświętnego samozadowolenia. Jak zorientowaliśmy się wszyscy przed chwilą, słuchając surowej analizy przeprowadzonej przez Andrzeja Krasieńskiego, naszej dyskusji przesądzonej został zgola odmienny kierunek i nastrój. Wbrew niepisanej konwencji mieliśmy się tu przede wszystkim solidnie pobierać i twórczo pokłócić. Sądzę, że nawet wyrok jury jest wymownym sygnałem do wszczęcia alarmu. Czyż nie symptomatycznym jest fakt, iż z góry można było przewidzieć nazwisko laureata Nagrody Młodych? A w jakim świetle stawia pisarzy średniego pokolenia nieprzyznanie po raz drugi z rzędu nagrody literackiej, motywowane domyślnie stwierdzeniem, że nie sposób stale szermować tymi samymi nazwiskami?

Dane do ponurego szkicu, jaki chcę tu nakreślić, czerpałem z uważnej lektury wszystkiego, co ukazywało się w druku, i z doświadczeń pracy redakcyjnej jako ten, który przez rok redagował dodatek młodzieżowy przy Słowie Powszechnym oraz przez rok czytywał maszynopisy utworów poetyckich nadsyłanych do tygodnika „Dziś i Jutro”. Z tego i tylko z tego tytułu osmieliłem się zabrać głos w dyskusji. Wszystkie inne okoliczności stawiają mnie w szeregu oskarżonych i do brutalnej filipiki Lichniaka, m.in. i przeciwko mnie skierowanej mógłbym co najwyżej dorzucić sporo argumentów wspierających jego gromy. Są jednak problemy bardziej pasjonujące. Należy do nich naturalnie obmowa bliźnich po piórze i nią właśnie pragnę się zająć. Ponieważ ramy wypowiedzi zawęziłem do twórczości poetów bądź to niedawno debiutujących, bądź to tych, którzy zadebiutowali na przestrzeni ostatnich pięciu lat — łatwo przyjdzie odeprzeć sugestie, jakoby cenne ich manuskrypty spoczywały w szufladach biurka. Otóż w odniesieniu do większości młodych poetów stawiam tezę, że „cesarz jest nagi”. Treść szuflad pokrywa się niemal w 100 procentach z treścią pozycji odrzuconych przez impertynenckich redaktorów. Czy tylko impertynenckich? Na przestrzeni paru lat praktyki redakcyjnej nie zdarzyło się nam poza jednym wyjątkiem, o którym za chwilę, pozbawić opieki młodego pisarza, którego twórczość przejawiała choćby iskierkę talentu. Wbrew mrozącym krew w żyłach wieściom, jakie krążą o politycznym ostracyzmie stosowanym przez nasz tygodnik — decydu-

jącym kryterium w nawiązywaniu przez nas kontaktu z młodymi twórcami były ich zdolności pisarskie. Wyjątkiem, o którym wspominałem, jest „casus Podsiad”. Antoni Podsiad, wylansowany przez nasze pisma, niesłychanie utalentowany młody poeta, rzeczywiście nie obecnie nie publikuje. Jak sobie Państwo zapewno przypominają, drukowaliśmy sporo jego rzeczy, ale gdy mimo dwuletniej współpracy — coraz bezwzględniej specjalizował się w pisaniu wierszy dla dziesięciu wtajemniczonych — nasze drogi się rozeszły. Wina za błędną drogę Podsiada i jego aktualną społeczną nieużyteczność na pewno nas obciąża. Nie byliśmy w dostateczny sposób przekonujący. Ale i na tym koniec. Więcej grzechów nie pamiętam.

Twórczość całej reszty młodych pisarzy może podlegać normalnej ocenie jako fakt dany, a nie tajemnicza niewiadoma. Jestem przeciwnikiem maksymalistycznych metod Lichniaka, uprawiającego krytykę postulatyczną w ten sposób, że osiągnięcia mierzy wielkością zadań. W dodatku, Lichniak najczęściej przynagla do doskonałości nie ukazując dla każdego twórcy specyficznych etapów, które trzeba przebrnąć w drodze do ideału. W związku z tą pedagogiką „na wyrost” — wytwarza się w debiutantach kompleks niższości lub zupełne lekceważenie tak mało realistycznych postzturchiwań. Zawsze będę karłem — mówią jedni, nie warto słuchać — mówią inni i odwracają się do nas plecami. Dlatego ja wolę na tym miejscu przede wszystkim nie zadania, ale możliwości z ich realizacją związane, konfrontować z osiągnięciami. To, wydawałoby się, łagodniejsze kryterium funkcjonuje niestety niemal równie przynębiająco jak Lichniakowski maksymalizm.

OTO Tadeusz Chrzanowski, niewątpliwie najzdolniejszy z debiutujących po wojnie katolickich poetów. Najbardziej autentyczny talent szedł u niego w parze z dużą rzetelnością, z pięknym morale twórcy. Chrzanowski tylko w nielicznych wypadkach „bawił się” słowem. Jeżeli to nawet czynił — to wyłącznie dla potrzeb laboratoryjnych, nigdy nie traktując tych eksperymentów jako jakiegoś punktu dojścia. Hełz autotironii kryje się w tytule jego zbioru „Wędrowki pięknoducha”. Przyłomniemy wiersz Chrzanowskiego pt. „O wyborze”, przypomniemy najlepszy w polskiej poezji powojennej utwór o pokoju, przypomniemy wreszcie jego dwa ostatnie wier-

sze drukowane przed paru miesiącami, a sygnalizujące nieustanną ewolucję ideologiczną tego poety. Niezwykła komunikatywność wierszy Chrzanowskiego, urzekająca zgodność ładunku intelektualnego jego poezji z tegoż ładunku artystycznym wyrazem, duże uczulenie na problematykę moralną i wstręt do wszelkiej deklaracyjności — oto co potencjonalnie pasowało Chrzanowskiego na twórcę, który potrafiłby wyrażać najbardziej zasadnicze konflikty ideologiczne, z jakimi porażają się katolicy w Polsce. Na tej linii wstępującej należało Chrzanowskiego umacniać i perswadować mu z trudem przez niego samego przewycięzaną skłonność do dekadentkich samoroztkliwień lub do powielania wzruszeń o tyle wtórnych, że bodźcem dla nich były dzieła mistrzów pędzla. Przyznaję, że w naszym stosunku do poezji Chrzanowskiego było wiele zarzutów uproszczonych i zbyt brutalnych. Równocześnie pragnę jednak jak najsurowiej obciążyć odpowiedzialnością za obecne milczenie Chrzanowskiego jego lokalne środowisko. Za wiele było tam zgody na „malarski” eskapizm Chrzanowskiego, za mało utwierdzenia go w podejściu tematyki etycznej i historycznej, tak bardzo harmonizującej z bogatą skalą jego możliwości twórczych. Jestem najgłębiej przekonany, że Chrzanowski, nie posiadając dyspozycji na to, ażeby się stał Broniewskim polskiej poezji katolickiej, z powodzeniem mógłby być jej Jastrunem.

Choć muza Zbigniewa Herberta była dla przeciętnego odbiorcy znacznie mniej komunikatywna, a krąg zainteresowań tematycznych o wiele wyraźniej schyłkowy i nawiązujący do nieużytecznych dla nas wzorców poezji elitarniej — braku aktywności Herberta na pewno nie wolno nam pokwitować obojętnym wzruszeniem ramion. Umiejtność współodczuwania tragedii umierającej klasy predystynowała go do przekonującego świadczenia o bezwyjściowości z intelektualnego i etycznego załka, w jaki pchnęła historia naszą burżuazję na inteligencję. Bardzo świadomy pesymizm twórczości Herberta, który ocalenie moralne upatruje w masochistycznej, maksymalnie uświadomionej afirmacji własnej klęski, to niedobry symptom sytuacji w polskiej poezji katolików. W ten bowiem sposób powstaje trudna do odparcia sugestia, że katolicyzm staje się wygodną przystanią dla rozpaczliwej, zamiast drogowskazem dla jej przewyciężenia.

Najwięcej dobrej woli do sprostania zamówieniu naszego czasu wykazuje w swej twórczości Mikołaj Bieszczadowski. Jednak pomijając sprawę zbyt niefrasobliwie przyswajanych często wzorców formalnych obcych poetyk, niepokoi inny rys ewolucji twórczej Bieszczadowskiego, płynący niewątpliwie ze źródeł natury ideologicznej. Oto ów potężnie utalentowany poeta, który m.in. dał się nam poznać, jako niemal jedyny po wojnie obok ks. Twardowskiego twórcą przejmujących poematów ściśle religijnych — z chwilą podejmowania tematyki współczesnej — pisze wiersze niemal całkowicie pozbawione katolickiego piętna światopoglądowego. Jeżeli nawet w takich utworach znajdziemy jakiś akcent katolicki, będzie to najwyższej mechanicznie docepiona wstawka lub dekoracja z reguły niemal kolidująca z duchem utworu. Czy sygnalizowane fakty muszą świadczyć o nieszczeroci ideowej poety? Niekoniecznie. Równie dobrze przyczyna ich może tkwić w błędnym przeświadczeniu, że ideologia postępowego katolika to nie postawa jednorodna, ale jakaś wypadkowa „rozsądnego” kompromisu religii z materializmem. Osobiście wierzę, że Bieszczadowski przewyciężając zasygnalizowaną intelektualną dwoistość w widzeniu świata — da nam poezję stawiającą, a może i rozwiązującą pasjonujące nas problemy współczesności z jednoznacznych pozycji światopoglądowych.

Jeżeli chodzi o naszych najmłodszych kolegów poetów, to trzeba tu wspomnieć o prawidłowo i pomyślnie rozwijających się talentach Andrzeja Piotrowskiego i Konrada Hela. Obaj ci młodzi ludzie startujący z nader formalistycznych stanowisk odważnie i coraz konsekwentniej atakują tematykę społeczną, osiągając niejednokrotnie bardzo zadowalające rezultaty. Ale i na tym koniec jaśniejszych akcentów tej niewesołej analizy, której pesymistyczna wymowa najwyżej da się osłabić przypomnieniem bojowej, politycznie zaangażowanej twórczości Wacława Olszewskiego. Oczywiście jednak i tu będą pewne zasadnicze „ale”. Olszewski często zdaje się zapominać, że nie lira, ale satyra jest właściwym narzędziem jego dużych poetyckich uzdolnień. Po wtóre, niepokoi w twórczości Olszewskiego skłonność do nie zawsze uargumentowanej tendencyjności i jak gdyby rozrzucanie się z obowiązku miłości bliźniego w stosunku do przeciwników.

Skoro założyłem na wstępie, że mówię wyłącznie o młodych kadrach naszej literatury, automatycznie odpada tu potrzeba zastanawiania się nad twórczością poetów średniego pokolenia, jak Hłakowiczówna, Piekut, Konarska-Łosiowa, ks. Twardowski czy Kenonowicz, którego pionierski tom o Ziemiach Zachodnich powinien być dla nas wszystkich silnym dopinaczem w atakowaniu pałacy tematyki dotąd jeszcze niekniętej.

Pozostają chyba zatem tylko trzy nazwiska: Józef Szczawiński i Halina Panfilowicz, którzy od wielu miesięcy nie opublikowali, podobnie jak mówiący te słowa, żadnego nowego utworu i Anna Pogonowska, która uprawia poezję egzystencjalistyczną. Kosmiczny katastrofizm i skrajny pesymizm poezji Pogonowskiej deformują dramat natury i laski w wyłączenie zagłada tego świata rozwiązywał na tragedię, rozgrzeszając w konsekwencji odbierając tej poezji z jakiejkolwiek odpowiedzialności moralnej za świat i jego problematykę społeczną. Oczywiście mam tu na myśli odbiorcę bardzo wyrafinowanego, zdolnego w tej bardzo nieczytelnej poezji cokolwiek pojąć.

Wypadałoby teraz zastanowić się nad wnioskami, jakie nerzuca nam ta bardzo pośpieszna analiza powszechnie uznanych za reprezentatywne

faktów w naszej młodej poezji. Pierwszym takim wnioskiem będzie stwierdzenie nikłego stanu ilościowego autorów. Jeżeli w dodatku uświadomimy sobie, że na dziesięć podanych tu nazwisk tylko pięciu poetów nie przestaje publikować — łatwiej pojmniemy powód do wszczęcia impertynenckiego rwetesu. Jaką diagnozę opatrzyć te zatrważające cyfry? Czy by w naszej katolickiej społeczności zapanowała nagła posucha na talenty? Taka pozorna próba wyjaśnienia niewygodnych faktów nie powinna nas zadowolić. Szukajmy bardziej sprawdzalnych przyczyn. Szukajmy ich w nas samych, w atmosferze intelektualnej, tak charakterystycznej dla wielu środowisk katolickich. Przypatrzmy się chociażby miłkłym, formalistycznym komentarzom, jakimi wkładka „W młodych oczach” opatruje utwory młodych debiutantów. Zajrzyjmy do szuflad lubelskiego Koła Twórczości Własnej. Zaiste, nie widzę w Polsce szanującego się redaktora, który zaryzykowałby druk tych księżycowo-młodopolskich zadumań. Zastój, martwota lub w najlepszym wypadku kulturowanie formalistycznej perwersji z ambicją skrupulatnego stronienia od nurtu przemian, to znaczy tego wszystkiego, czym oddychamy i co stanowi żywy konkret, z jakim obucujemy na co dzień i który wokół nas rośnie — taka atmosfera zaiste nie jest najlepszą pożywką dla rozkwitających uzdolnień twórczych. Umyślnie wymieniłem tu ośrodki, których znaczeniem jest formować świadomość kulturalną naszego narybku twórczego, ażeby uniknąć zarzutu, że główną przyczyną złego stanu rzeczy jest nieuprzywilejowana sytuacja katolicyzmu w Polsce powojennej. Sądzę, że dzieje się wręcz odwrotnie. Tylko wielkie napięcia ideologiczne rodzą wielkie fakty kulturalne. Dlatego właśnie — choć niedobrze jest ciągle z polskim piarstwem katolickim — jest z nim znaczenie lepiej, niż w okresie międzywojennym. A najważniejsze przyczyny miernych rezultatów naszych wysiłków, to przede wszystkim smutne dziedzictwo dwudziestolecia i okresów wcześniejszych, kiedy to usiłowało się czynić z katolicyzmu w kulturze zmonopolizowany parawan dla twórczości dobrze myślących stróży bogoczyźnianego błogostanu.

Wniosek drugi, jaki musi się nam nasunąć z przeprowadzonej tu analizy, to stwierdzenie rezerwatowego charakteru naszych placówek kulturalnych. Jestem jak najdalej od insynuowania, że ponosimy subiektywne winę za ten stan rzeczy. Jednak zarówno ewolucja Podsiada, który debiutował wierszami o pierwszym maju i o pokoju, jak i ewolucja Pogonowskiej wskazują, że ich akces do poezji katolickiej dopomógł im właśnie w uwstecznieniu postaw twórczych. Jednocześnie nie da się zaprzeczyć, że eskapizm Chrzanowskiego i Herberta zbyt tolerancyjnie był osadzony w środowiskach, które obu zrobiły pisarskie nazwisko. Nie sądzę także, ażeby była w porządku redakcja „Dziś i Jutro” przyglądająca się z założonymi rękoma bezczynności Szczawińskiego, Panfilowiczówny i Rostworowskiego. My również ponosimy odpowiedzialność za błędy ideologiczne i artystyczne Bieszczadowskiego, zadowolając się zbyt pośpiesznie samym faktem atakowania przez niego nieprzetrawionej i niedostatecznie przeżytej problematyki politycznej. Ale przeszłość jest do wygrania. Oprócz Piotrowskiego i Hela są jeszcze: Grubner, Elysant, Grochowski, Hanaj, Juszczyk, Łukasiewicz i wiele, wiele innych młodych, dojrzmujących talentów poetyckich. Od nas zależy ich prawidłowy rozwój i ich wartościowa służba zadaniom, do których tak trudno nam dorastać.

nagród im. Wł. Pietrzaka

referacie Krasieńskiego jest niesprawiedliwych, gdyż zasadniczy przełom w powojennym piarstwie katolików już się dokonał, a obraz katolickiej literatury międzywojennej został na krekłony przez referenta zbyt jednostronnie.

Ks. prof. Dąbrowski w przemówieniu swoim wskazał na trzy ważne dziedziny tematyczne, które winny stanowić szczególny okrędek wkładu religijnej twórczości katolików.

Analizując sytuację kultury twórczej przez katolików w Polsce Ludowej prof. Kalikst Morawski dał wyraz optymistycznemu widzeniu jej perspektywy, przypominając, że trudności, z którymi się zmagają nasi twórcy, są przede wszystkim trudnościami wzrostu i dojrzenia. O sile kulturowość — mówił prof. Morawski — nie decyduje warunka koniunkturalne, ale dynamika idei.

Stąd np. niedowład twórczy pisarzy katolickich w burżuazyjnych Włoszech czy kompletna posucha literacka w faszystowskiej Hiszpanii.

Wokół zagadnień postawionych w referacie koncentrowało się również kilka innych wypowiedzi dyskutantów, w szczególności zaś Zygmunt Lichniak ukonkretził nadeszły też krytycznych Krasieńskiego. Nie brakło jednak niestety także i głosów o treści mało związanej z głównym przedmiotem dyskusji, skutkiem czego zebranie miało chwilami przebieg marginalny i chaotyczny. Te negatywne momenty dyskusji nie zdołały przeciwieństwo zaciemnić jej celu zasadniczego, którym było ukazanie postępowych perspektyw rozwojowych dla twórczości katolików na najbliższą przyszłość. Co więcej, niektórzy wystąpienia zdekonspirowane w końcowym podsumowaniu jako sympto-

my ogólnikowe i niezobowiązujące go do maksymalnego wysiłku traktowania spraw kultury — mianem tylko jeszcze wspierały przeświadczenie, że większości uczestników zebrania, że postawa nieodpowiedzialnego „kibicowania” kulturze katolickiej, ekliwskiego nad nią „patronatu” lub ahistorycznej, samotniczej pracy doprowadziła ostatecznie swego moralnego anachronizmu i absolutnej społecznej nieskuteczności. O obliczu tej kultury będą decydowały fakty wyznaczone przez obiektywny bieg historii oraz sprzymierzeni z owymi faktami i dający pełne świadectwo wyznawanemu światopoglądowi twórcy katolickiej. Przypomnienie powyższej mawdy służyła przede wszystkim dyskusji toczona z okazji wręczenia nagród im. Włodzimierza Pietrzaka i na tym polegał jej podkreślenie godny sens optymistyczny.

M.

Ignacy RUTKIEWICZ

BŁĄD SATANOKRATYZMU

PROBLEM satanokratycznej — we dle określenia J. Maritaina — koncepcji świata i doczesnej organizacji społecznej należy do tych spraw, które trzeba krytycznie przeanalizować. Rzecz oczywista, jak to być się starał poniżej wyjaśnić, w swojej czystej postaci filozoficzno-teologicznej koncepcja ta nie znajduje dla siebie miejsca w katolickim wiązaniu rzeczywistości stworzonej. Natomiast w formie mocno uproszczonej, zwulgaryzowanej powiedzmy, jest ona często spotykana wśród rzesz wiernych.

DZIEDZINA KSIĘCIA CIEMNOŚCI

KLASYCZNA formuła satanokratycznej koncepcji świata sprowadza się do stwierdzenia, że rzeczywistość doczesna jest dziedziną Księcia Ciemności. To znaczy, że świat doczesny stanowi sferę niepodzielnej władzy szatana, a Bóg Zbawiciel nie ma w niej rzekomo udziału. Innymi słowy — mam tutaj na myśli taki sposób pojmowania świata doczesnego, wedle którego jest on dogłębnie skażony złem, grzechem, zepsuciem — a dobro znajduje się tylko poza nim, w sferze czystych duchów. A zatem jedyne rozsądne, jedyne chrześcijańskie wyjście z tej sytuacji dwuznacznej, a raczej nawet jednoznacznej, jednoznacznie brudnej, polegać ma na ograniczeniu swego kontaktu z tą rzeczywistością ziemską, która nas otacza i towarzyszyć nam będzie aż po kres naszego życia. Ludzie zarażeni takim pojmowaniem świata i życia obciążeni są ponurą obsesją pakowania z konieczności ze złem, obsesją udzielania koncesji złu i grzechowi, są obciążeni fałszywą świadomością nieczystego sumienia i ustałowicz-

nego brukania sobie rąk przez zajmowanie się sprawami ludzkimi. W tych warunkach modlitwa rozumiana jest nie jako wzniesienie się do Boga w intencji ostatecznego zwycięstwa dobra w świecie i w człowieku — ale jako ucieczka od świata, jako wyzolenie się od dziedziny Księcia Ciemności.

Ten jednostronnie zaciemniony, absolutnie pesymistyczny pogląd na naturę człowieka i świata, tak zbliżony w swym charakterze do obrazu wykonanego techniką czarno-białą, bez światłocieni, ten pogląd jest radykalnie skażony jakimś skrajnie idealistycznym, skrajnie antyrealistycznym widzeniem rzeczywistości. Jego zwolennicy zdradzają mniemanie, jakoby dobro było przymiotem jedynie czystych duchów, a w człowieku istniało o tyle tylko, o ile zajmuje on postawę „dymisji”, postawę umywania rąk od świadomego zaangażowania się w sprawy tego świata. Przy czym, niezależnie od stopnia świadomego przemyślenia, skutki praktyczne takiej postawy są jednakie.

Warianty takiej totalnej negacji doczesności, totalnego zapoznawania jej istotnego charakteru, mogą być i praktycznie nieraz bywają bardzo różnorodne. Wszystkie one jednak dają się sprowadzić do przeświadczenia, że zło jest substancją na równi z dobrem, że świat jest właśnie nasycony do maksimum substancją zła. Podziwki manicheizmu z okresu wczesnego chrześcijaństwa są tutaj aż nadto wyraźne.

„Dobrymi są rzeczy, które się psują — napisał w swoich „Wyznaniach” św. Augustyn — rzeczy, które się psują, a które by się nie mogły psuć, gdyby były najwyższym dobrem; a nie mogłyby się psuć, gdyby dobrymi nie były, albowiem gdyby były najwyższym dobrem, byłyby nieskazitel-

ne, gdyby zaś wcale dobrymi nie były, nie byłoby z nich nic, co by się mogło psuć... Jeśli zaś rzeczy pozbawione będą wszelkiego dobra, to w ogóle ich nie będzie... Wszystko, co istnieje jest dobrem, a owo zło, którego przyczyną szukałem, nie jest substancją, albowiem, gdyby nią było, byłoby dobrem. Jeśli bowiem będą, a nie będą mogły się psuć, będą lepszymi, ponieważ trwać będą nieskazitelnie. A cóż potworniejszego niż stwierdzenie, że po utracie wszelkiego dobra stały się lepszymi? Albo byłoby to substancją nieskazitelną, a więc wszelkie dobro, albo skazitelną, która by taką nie była, gdyby nie była dobrą”...

Św. Augustyn bardzo dobitnie potępia podstawowy błąd poglądów manichejskich o równorzędności pierwiastków dobra i zła w świecie. Tutaj sięgamy, jak się wydaje, do teologicznego dna zagadnienia. Wyznawcy satanokratycznej koncepcji świata dokonali niejako podziału całej rzeczywistości stworzonej na dwie „sfery wpływów” — sferę Bożą i sferę szatańską. Świat doczesny pozostawili szatanowi. W tych warunkach rzeczywistość nie trudno o złudzenie, że człowiek jest niewolnikiem swego doczesnego kształtu cielesnego, a więc nie stanowi jednolitej istoty natury cielesno-duchowej, wyposażonej w dobre skłonności, wtórnie skażonej grzechem pierwszych rodziców, a potem odkupionej Męką Zbawiciela.

„Duch” i „ciało” — oto antyteza rzekomo nierozwiązalna, oto dwa pierwiastki sztucznie, mechanicznie wydzielone i postawione wobec siebie w absolutnej opozycji. To, co materialne — to jest nieodwołalnie skażone i brudne, to, co duchowe, to czyste i dobre. Wizja dobrej i pięknej „duszy anielskiej”, więzionej w „cze-

repie rubasznym” — używając słów poety — to obrazowe przedstawienie tego błędu satanokratyzmu, tak silnie związanego z błędami idealizmu poznawczego. Jak gdyby Bóg stworzył tylko „ducha”, dzieło stworzenia „materii” i „ciała” pozostawiając szatanowi, jak gdyby to, co materialne, nie mogło być uszlachetnione i oczyszczone.

Być może, albo raczej na pewno, ci ludzie, o których tutaj mowa, swojemu poglądu na świat nie przemysłili do końca, nie widzą oni tych właśnie ostatecznych jego konsekwencji, ale obiektywnie rzecz ujmując ich rozumowanie do tego właśnie punktu wie dzie nieuchronnie.

ŁASKA BEZ WOLNOŚCI I WOLNOŚĆ BEZ ŁASKI

BLIŻEJ naszych czasów źródła satanokratycznej koncepcji świata trzeba szukać w protestanckiej teologii „łaski bez wolności”. Przez właściwe sobie utożsamienie pojęć grzechu pierwotnego i pojęcia pożałowania godnego doszedł Luter do przekonania, że ludzie są przeżarci grzechem do szpiku kości, że człowiek nie jest w gruncie rzeczy odkupiony przez dramat Kalwarii, że w konsekwencji pewność zbawienia opiera się jedynie na porywie ufności w miłosierdzie Boże, a nie na współdziałaniu z Łaską, jak tego nas uczy Kościół. Rzecz oczywista, że człowiek nigdy sam nie potrafi „zapracować” na własne zbawienie, a dobro wieczne zawsze będzie przerastać jego osobiste zasługi, ale przecież Kościół naucza, iż człowiek może przy pomocy działającej w nim i z nim Łaski — zdobyć nawet wcale wysoką rangę zasługi w własnym zbawieniu. Bóg zawsze czeka na akt woli zbawienia się ze strony człowieka.

Bóg chce, aby człowiek sam wykażał, iż chce się zbawić: w tym to sensie „Bogu potrzebni są ludzie”.

Taka postawa teologiczna, jaką reprezentuje klasyczny protestantyzm, odbija się bardzo znamienne na praktycznej postawie życiowej przezeń dyktowanej. Oto praca w zakresie struktury doczesnych nie ma żadnego wpływu na zbawienie człowieka, jako że uczynki są wedle Lutera bezskuteczne, jeśli chodzi o drogę do zbawienia. Czyli: cokolwiek człowiek będzie czynił, byleby pozostała mu wiara w miłosierdzie Boże i w pewność zbawienia — zbawion będzie. Wedle Lutera człowiek jest pewny swego zbawienia i jak powiada Maritain „gotów on jest na tej ziemi stracić złoło wszystkiemu i mniemać się wybrańcem Bożym, a jego zaborcze żądania (jako człowieka dogłębnie skażonego, lecz pewnego swego zbawienia, zawsze przynębnego grzechem Adama, lecz mimo to czującego się wybrańcem Bożym) będą bez granic, a powodzenie materialne uzna on za obowiązek swojego stanu”.

Postawa klasycznego protestantyzmu jest niejako dwoista i wewnętrznie niekonsekwentna. Oto z jednej strony, przez negację znaczenia uczynków na drodze do zbawienia, wyraża ona absolutną bezsilność człowieka zdanego wyłącznie na miłosierdzie Boże, stanowiąc postawę u nicestwienia się człowieka przed Bogiem, postawę skrajnie pesymistycznego, nihilistycznego nieledwie, zaprzeczenia godności człowieka, godności legitymowanej darem Wcielenia i Odkupienia. Ale jednocześnie odnajdujemy w klasycznym protestantyzmie pogląd o pewności zbawienia, będący silną podniętą do dynamicznego ujarzmiania przyrody i świata, podporządkowaną woli doczesnego uszczęśliwienia ludzi. Temu wszakże stanowisku towarzyszy posępne przeświadczenie, że jest to niejako dziedzin zamknięta w sobie i oderwana od problematyki zbawienia.

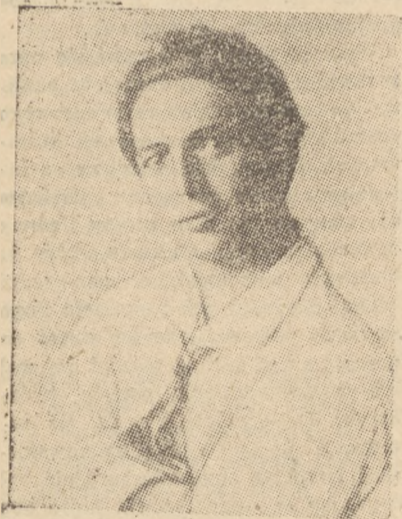
Trzeba tu lojalnie wyjaśnić, że podkreślenie błędów klasycznego protestantyzmu w niczym nie przesądza ani dalszej ewolucji doktrynalnej w łonie protestantyzmu, ani tym więcej dzisiejszej praktycznej postawy społecznej wielu protestantów, np. zachodnio-niemieckich. Natomiast nie ulega kwestii, że błędy klasycznego protestantyzmu zapodniły w sposób istotny myślenie ideologiczne wielu katolików, doprowadzając ich do pesymistycznego poglądu na doczesność przesadnie wyolbrzymiając w niej rolę pierwiastka zła i skażenia nim. Nie sposób jednak nie zauważyć, że chociaż według doktryny katolickiej działalność około struktur doczesnych nie jest działalnością zorientowaną bezpośrednio na zbawienie wieczne, to jednak postawa etyczna, przejawiana przez ludzi w tej działalności, jest wyrazem ich stosunku do problematyki zbawienia, gdyż doskonalenie się etyczne nie jest wymagane „w ogóle”, lecz konkretnie w codziennej działalności życiowej.

Drugą skrajność reprezentuje filozofia humanizmu antropocentrycznego, wedle której świat i społeczność doczesna są po prostu królestwem człowieka i tylko człowieka, bez odnoszenia ich do sfery przeznaczenia nadprzyrodzonego, bez odnoszenia ich do działalności Boga czy szatana. Wyraża się to w formie poglądu o dwóch celach absolutnie ostatecznych. Porządek doczesny — rozróżnienie to było znane już i w Średniowieczu, ale bodaj tylko wśród nielicznych umysłów — miały posiadać swój cel absolutnie ostateczny, niepodporządkowany żadnemu innemu celowi wyższemu: w polityce rzekomo obowiązują tylko techniczne

Christo Smirneński

NIE TYLKO Bułgaria, lecz Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej obchodzą w czerwcu b.r. trzydziestolecie śmierci jednego z większych poetów proletariackich — Christo Smirneńskiego.

Zwany bułgarskim Majakowskim, Christo Smirneński urodził się 30 września 1898 r. w Kukusz, rzemieślniczym miasteczku Macedonii. Był synem cukiernika. Lata dziecięce spędził



Christo Smirneński

ność obserwować we wrześniu 1918 r. powstanie żołnierskie we Władaj. Nie dziwnego, że pogłosy tych wypadków przyspieszają proces ideowej krytyki Smirneńskiego, że stosunkowo szybko wyzwała się on z szowinistycznych uczuć, że — zniechęcony burżuazyjną armią — porzuca służbę wojskową, wstępuje do Bułgarskiej Partii Komunistycznej i poświęca się pracy nad swym od najmłodszych lat widocznym talentem poetyckim i publicystycznym.

Wiersze zaczął Smirneński pisać i publikować już jako uczeń drugiego kursu w szkole technicznej. Jego pierwsze wiersze literackie — podpisywane pseudonimem „Wedbal”, który stał się rychło popularny — to przede wszystkim utwory satyryczne. Utorowały mu one drogę do redakcji humorystycznego tygodnika „Śmiech i Łzy”, założonego w r. 1917. — Stale współpracując z licznymi periodykami — jako poeta istotnie proletariacki daje się Smirneński poznać dopiero w trzy lata później w partyjnym tygodniku humorystycznym „Czerwony Śmiech”. Tu właśnie wdrukował swój pierwszy wiersz wyraźnie rewolucyjny — „Pierwszy Maj”. Na rok przed śmiercią wydał Smirneński tomik swoich poezji pt. „Żeby nastąpił dzień”.

Dwudziestopięcioletni zaladnia poeta umiera na gruźlicę 18 czerwca 1923 r., więc w kilka dni po przewrocie faszystowskim. Do ostatniej niemal chwili życia przygotowywał się Smirneński, aby dać wyraz swemu protestowi przeciw narastającym siłom reakcji...

Rozsypana po ezonismach, dotychczas nie zebrana bogata twórczość Smirneńskiego (poeta był równie niezłym prozaikiem i doskonałym felietonistą) pozwala go najgorzej określić jako wrażliwego i żarliwego humanistę, żywo reagującego literacko na współczesne mu bolączki społeczne. — Smirneński wzbogacił literaturę bułgarską o nowe tematy, nowe uczucia, nowe obrazy. Poeta całą swą działalność wprawił w służbę protestu przeciw ustrojowi kapitalistycznemu. Śmiech i sarkazm, akcenty gniewu skierowane do przed stawicieli panującego porządku, gę-

bokie współczucie dla wszystkich uciemięzonych i szczerzy entuzjazm dla bojowników o nowy ustroj — oto krzywa napięć uczuciowych jego poezji. Dla Bułgarów — a z nimi i dla nas — pozostał Smirneński poetą biednych ludzi pracujących, poetą walki, świetnym lirycznym rewolucyj-

Warto nadmienić, że od roku 1945 działa w Sofii Instytut Naukowy „Christo Smirneński”. Pracuje on nad zebraniem i ustaleniem dokładnego tekstu wszystkich utworów poety oraz nad zgromadzeniem materiałów

i dokumentów związanych z życiem i twórczością Smirneńskiego. Przygotowuje się także pełna bibliografia twórczości poety i literatury o nim, a je szcze w bieżącym roku wyjdzie toni wspomnień o Smirneńskim, na który złożą się artykuły ludzi znających go niegdys osobście.

Przedrukowany przez nas wiersz Smirneńskiego, „Spartakus północny” — napisany z myślą o Związku Radzieckim — ma wejść do przygotowywanej w Polsce antologii poezji zagranicznej.

SPARTAKUS PÓLNOCNY

Z łachmanów swoich, ciężących na grzbiecie,
Ukałem sobie panczerz jak z żelaza.
Mój miecz jest węzłem ludzkich dusz na świecie,
W płomieniu błędów hartowany świeci,
Mądrością pierwszą władza go obdarza.

Idę po stromych ścieżkach w ciężkim boju
Świat widać z boków gromami przecięty;
I płonie ziemia w krąg, pod nogą moją.
Czuje to — kiedy w świętym ogniu stoję —
Potężny jestem, władczy, nieugięty.

To ja — niewolnik na krwawej arenie —
Niewyszczerbiony swój miecz wznoszę oto,
A za mną bracia idą rozwścieczeni.
Koko mnie hurza wzmaga się i pieni,
By wtargnąć w Rzymu powalone wrota.

Próżno ruszają przeciw mnie legiony!
Broń ich daremnie drogę mi zamyka!
Na szereg waszych panczerzy złożony
Rzucę dziś swoje żelazne miliony,
Rozgrzane ogniem piersi niewolnika.

Z wichrami, które śnieżnym stępem lecą,
Rozpedzę wasze szeregi ślepnące
I władczy gniewem przerażenie wniecę,
Bo błyskawice będą moim mieczem,
Bo moją tarczą w boju będzie słońce.

Przełożył Aleksander Rymkiewicz

(Dokończenie na str. 6)

Janusz ZABŁOCKI

Zbrodniczy proces, który obciąża rząd USA

I MIONA ich znane są dzisiaj na całym świecie. Opinia całego świata poruszona jest tym procesem, który nie bez podstaw przynosi nam do sprawy Dreyfussa, czy też sprawy Sacco i Vanzetti.

Juliusz Rosenberg, bezpartyjny inżynier z Nowego Jorku, szeregowy uczestnik ruchu obrońców pokoju, został przed dwoma przeszło laty oskarżony wraz z żoną Ethel o „szpiegostwo atomowe“ i „wydanie tajemnicy bomby atomowej Rosjanom“. Oskarżeni zostali aresztowani i postawieni przed sądem na skutek zeznań szwagra Juliusza, nazwiskiem Dawid Greenglass, mechanika w zakładach atomowych Los Alamos, który zeznał, jakoby Rosenberg polecił mu wykraść tajemnicę bomby atomowej. Greenglass przedstawił mu tę „tajemnicę“ w postaci rysunku z 12 stronami objaśnień. Oboje oskarżeni konsekwentnie zaprzeczali zeznaniom Greenglassa, (którego osobista nienawiść do Rosenbergow i chęć za szkodenia im rzucała się w oczy w zeznaniach). Nawet prasa umiarkowana nie miała swoich wątpliwości co do realności faktów zawartych w akcie oskarżenia. „Jak można wierzyć — pisał „Temoignage Chretien“ w numerze z 27 lutego br. — że nie-
wyszkolony mechanik mógł zebrać i skondensować na 12 stronach tajemnicę bomby atomowej?“ Według opinii fachowców, wśród nich światowej sławy specjalisty od fizyki atomowej, laureata Nagrody Nobla, prof. Harolda Ureya, który sam brał udział w pracach Los Alamos i którego osoba stoi ponad wszelkim podejrzeniem, czyniony w akcie oskarżenia zarzut jest z punktu widzenia naukowego nonsensem. Wbrew temu wszystkiemu — mimo rażącego braku materiału dowodowego, na który składały się głównie zeznania doprowadzonych przez policję „świadków“ (jeden z tych „świadków“ odwołał potem publicznie swoje zeznania, jako złożone pod presją F.B.I.), pomimo wręcz że ustawa, na którą powoływał się akt oskarżenia, przewiduje dla podobnego przestępstwa jako najwyższy wymiar kary 20 lat więzienia — wbrew temu wszystkiemu sąd okręgowy w Nowym Jorku uznał oboje oskarżonych za winnych przypisywanych im zbrodni i skazał ich na karę śmierci. Od tego czasu trwa ciąg naca się już przeszło dwa lata walka o życie Rosenbergow, którą toczy obrona bezskutecznie zabiegająca o rewizję procesu oraz toczą poruszona wiadomością o haniebnym wyroku największe masy na całym świecie. Żądanie sumiennego rozpatrzenia sprawy Rosenbergow i ulaskawienie ich jest żądaniem milionów ludzi w różnych krajach, żądaniem, które w dziesiątkach tysięcy listów i depesz oraz niezliczonych zebraniach manifestują robotnicy i intelektualiści, kobiety i młodzież, politycy i duchowni różnych wyznań. Wśród szerego wachlarza środowisk, które interweniowały na rzecz niewinnie skazanych Rosenbergow, znajdują się również nazwiska arcybiskupa Paryża, kard. Faltin i arcybiskupa Lyonu, kard. Gerlier. Trzeba też wymienić interwencję Ojca Świętego, która miała miejsce w lutym br. Interwencja ta jednak — jak tłumaczy rzymskie pismo jezuitów „Civiltà Cattolica“ nie przesądza o sposobie merytorycznym problemu winy Rosenbergow. snrowadza się wyłącznie do aktu miłosierdzia.

Walka o życie Rosenbergow zyskała w ostatnim czasie nowe argumenty potwierdzające niewinność skazanych, które stały się podstawą dla trzeciego z kolei wniosku o rewizję procesu

DODCZAS procesu Rosenbergow w marcu 1951 r. poświęcono wiele uwagi sprawie ich stołu, który miał służyć rzekomo robocie

szpiegowskiej. Historia tego stołu zajmuje w sprawozdaniu z procesu około 75 stron, stanowiąc istotny element aktu oskarżenia.

Odpowiadając na pytanie prokuratora Kilsheimera Ruth Greenglass zeznawała: „Podziwiałam stół i spytałam się Ethel, kiedy ten nowy mebel kupiła. Odpowiedziała mi, że go nie kupiła, ale otrzymała w prezencie, na co powiedziałam, że to bardzo piękny prezent otrzymała od przyjacielela. Juliusz powiedział wtedy, że to było od jego przyjaciela i że to był specjalny rodzaj stołu oraz odwrócił stół na bok, by nam pokazać, co w nim jest specjalnego. Część stołu była wydrążona dla umieszczenia w dole lampy w ten sposób, aby stół mógł być używany do robienia fotografii; (Juliusz — red.) powiedział, że kiedy używał stołu, gasił wszystkie inne światła... W ten sposób sporządził on mikrofilmy notatek daktylografowanych“.

Do tego zeznania Dawid Greenglass, odpowiadając na pytanie prokuratora Cohna, dodał jeszcze: „Wydaje mi się, że mówili mi oni (Rosenbergowie — red.), że stół otrzymali od Rosjan“.

Wbrew oświadczeniom, złożonym przez Juliusza a następnie Ethel Rosenbergow, którzy zaprzeczyli powyższemu zeznaniu stwierdzając, że ich stół był zwykłym stołem, kupionym w roku 1944 czy też 1945 za sumę około 20 dolarów, podane przez świadków oskarżenia fakty zostały przez sąd uznane za prawdziwe. Sam stół nie został jednak pokazany na rozprawie, a prokurator ograniczył się do pokazania w jego miejsce fotografii „podobnych stołów“.

Otóż ten stół, który jak się okazało był po aresztowaniu Rosenbergow pozostawiony na swoim miejscu przez agentów F.B.I., nie przywiązanych w tym okresie do niego żadnego znaczenia, został odszukany przez dwóch młodych dziennikarzy z posterunku tygodnika amerykańskiego „National Guardian“, który w numerze z 13 kwietnia opublikował na temat stołu nowe, rewelacyjne informacje. „National Guardian“ przedstawił dokumenty, które ponad wszelką wątpliwość rozstrzygają pochodzenie stołu Rosenbergow. W ich świetle tajemniczy stół, podarowany Rosenbergom dla roboty szpiegowskiej przez Rosjan (czy przywieziony transatlantykami?) został zidentyfikowany jako zwyczajny stół, kupiony w megarynie Macy w Nowym Jorku w roku 1944 za sumę 19 dolarów 97 centów. Odkrycie to potwierdza więc to, co od początku utrzymywali na ten temat Juliusz i Ethel Rosenbergowie i zarazem daje podstawy do poeignięcia Greenglassów do odpowiedzialności za fałszywe zeznania.

DRUGA rewelacja została ujawniona prawie równocześnie we Francji.

Zasadniczym materiałem dowodowym dla potwierdzenia aktu oskarżenia w procesie przeciw Rosenbergom były zeznania Dawida Greenglassa. Zeznania te pokrywały się z zeznaniami innego świadka oskarżenia, Harry Golda, rzekomo łącznika siatki szpiegowskiej, przystanego „od Juliusza“ oraz również — podobnie jak Greenglass — znajdującego się w rękach policji.

Paryski burżuazyjny dziennik „Combat“ opublikował w numerze z 18 kwietnia br. fotokopię prywatnego listu, pisanego przez Dawida Greenglassa do jego adwokata. List ten zaprzecza w wielu punktach ze znaniami publicznymi złożonymi przez niego w czasie przewodu sądowego oraz ujawnia sposoby, jakimi F.B.I. usiłowało uzgodnić zeznania Dawida Greenglassa oraz Harry Golda. Wynika z tego listu, że Greenglass na żądanie F.B.I. wprowadził do swoich zeznań elementy, których nie był

pewien. „Oświadczyłem — pisze w tym dokumencie prywatnym Greenglass — że przyjąłem Golda... w moim mieszkaniu. Oni (F.B.I.) mi powiedzieli, że mówiłem, aby przyszedł późno, ponieważ nie miałem przygotowanych rzeczy. Nie przypomniałem sobie tego, ale pozwoliłem na umieszczenie tego w zeznaniach“.

W innych miejscach rzucają się w oczy sprzeczności między tym, co pisze Greenglass a tym, co zeznawał

19-20 kwietnia dziennik „Le Monde“ — są zbyt domośle, by pomijać je milczeniem. Do sprawiedliwości amerykańskiej należy ich ocena, skontrolowanie ich prawdziwości oraz zdecydowanie, w jakiej mierze czynią one konieczną rewizję procesu“. Ta opinia pisma burżuazyjnego, dotąd niezauważanego bezpośrednio po stronie Rosenbergow, stała się opinią coraz powszechniejszą, domagającą się rewizji dokonanego

„odrzuceno“. Postawa Vinsona spotkała się z poklaskiem szeregu dzienników amerykańskich, które wyraziły mu uznanie, domagając się przyspieszenia egzekucji na małżonkach Rosenberg.

Po odmowie ze strony Sądu Najwyższego adwokat Bloch zwrócił się do Federalnego Sądu Apelacyjnego w Nowym Jorku o kasację wyroku, wykazując, że wydany na Rosenbergow wyrok śmierci sprzeczny jest z ustawą, na której oparty był akt oskarżenia i która przewiduje jako najwyższy wymiar kary 20 lat więzienia. Równocześnie zwrócił się do sędziego federalnego Kaufmana, który przed dwoma laty prowadził proces Rosenbergow skazując ich na karę śmierci, o złagodzenie orzeczenia w świetle ujawnionych ostatnio faktów, które przemawiają na rzecz skazanych. Federalny Sąd Apelacyjny w Nowym Jorku odrzucił prośbę obrońcy małżonków Rosenberg o zmianę kary śmierci na 20 lat więzienia. Wkrótce potem odrzucił podanie obrońcy sędziego Kaufman. Wykonanie wyroku śmierci w więzieniu Sing Sing wyznaczone zostało na dzień 18 czerwca o godzinie 23 czasu miejscowego.

OTO ostatnia część kroniki walki o życie Rosenbergow. Czyż cały ten proces, utkany z kłamstwa i szantażu, czyż rozpętana przez prasę zwijzana z rządem i sferami wielkiego kapitału histeria nienawiści, obciążająca błotem oboje niewinnych zasadzonych — czyż wszystko to nie było zdolne przytłoczyć oskarżonych ciężarem rozpętanego bezprawia? Czy nie było zdolne do załamania tych dwojga nieczłowiecznych ludzi, osadzonych po wyroku w „celach śmierci“ osławionego nowojorskiego więzienia Sing Sing i oczekujących rozstrzygnięcia teczącej się walki o ich życie? Tych dwóch ludzi zawieszonych między nadzieją a odruchami ludzkiej rozpaczki, między zwyczajnym łukiem a poczuciem ludzkiej godności i moralnego obowiązku?

Ale Ethel i Juliusz Rosenberg nie ulegli się pod ciosem, który spadł na nich. W pozornym absurdzie i przypadkowości tragicznej dla nich omyłki sądowej unieśli dostrzec ukrytą logikę. Zarówno inscenizacja procesu przez F.B.I., jak i uparte odmawianie przez sądy amerykańskie po nowego rozpatrzenia sprawy, co do której wątpliwości musiał mieć każdy obiektywny obserwator na całym świecie, wszystko to zdradzało, że nie był on przypadkowy, ale z góry ukartowany, że był on potrzebny kołom rządzącym U.S.A. Taki proces był w danej chwili potrzebny, aby — niezależnie od rzeczywistej winy upatrzonych ofiar — roznieść jeszcze bardziej histerię „zagrożenia“ w społeczeństwie amerykańskim i wytworzyć atmosferę sprzyjającą wojennemu kursowi polityki rządu. Te dwa lata, kiedy opinia amerykańska jest poruszona procesem „szpiegostwo atomowe“ Rosenbergow, są okresem intensywnej faszyzacji Stanów Zjednoczonych. W tym okresie właśnie aresztuje się i sadzi jako „obcych agentów“ trzynastu przywódców amerykańskiej partii komunistycznej; w czasie badania Rosenbergow F.B.I. wywierano na oboje oskarżonych silny nacisk, aby podpisali zeznania wiążące ich sprawę ze sprawą przywódców partii komunistycznej. W tym okresie dokonuje się przygotowań do ustawowych represji wobec partii komunistycznej i sił postępowych w społeczeństwie amerykańskim, nakłada się na podstawie ustawy Mac Carrana nakaz przymusowej rejestracji pod karą więzienia i grzywny dla członków Partii Komunistycznej, ba, rozważa

(Dokończenie na str. 6)



Synowie Rosenbergow — Michał (10 lat) i Robby (6 lat) przy pisanii listu do Eisenhowera z prośbą o ulaskawienie ich rodziców. W dziewięć dni później, 29 maja, sędzia Kaufman wyznaczył termin egzekucji Rosenbergow na dzień 18 czerwca

na procesie. Pisząc o człowieku, z którym spotkał się Juliusz Rosenberg, stwierdza: „Rozmawiałem z tym człowiekiem, ale mogłem sobie przypomnieć bardzo niewiele na temat nazwy rozmowy“. Nie przeszkodziło mu to jednak wcale, kiedy przyszło do zeznań, opisać tę rozmowę ze wszystkimi szczegółami. Podobnie jest, jeśli idzie o Golda. Greenglass pisze: „Nie wiedziałem, kto przysłał do mnie Golda“, podczas gdy na procesie twierdził, że Gold został przysłany przez Juliusza Rosenberga.

„Doniosłość tych dokumentów — stwierdza od siebie dziennik „Combat“ — ma udzielić niezwykłej uwagi. Jeżeli są one autentyczne, to oskarżenia wniesione przeciw małżonkom Rosenberg muszą spaść“.

Jeśli idzie o autentyczność opublikowanego dokumentu, to i w tej kwestii są do zanotowania wiele mówiące okoliczności. Niezależnie od pozytywnego rozstrzygnięcia tej sprawy przez ekspertów-grafologów, jak donosi Agence France Presse adwokat Greenglassa, John Rogge, potwierdził istnienie tego rodzaju dokumentu, pisanego przez Dawida Greenglassa i „wyraźnie identycznego“ z tym, który opublikował w kwietniu prasa francuska. Oryginał tego dokumentu znajdował się w archiwach F.B.I., skąd miał zostać pewnego dnia „wypożyczony“, po czym po sfotografowaniu powrócił na swoje miejsce. Jak wynika z oświadczenia Roggego F.B.I. prowa dziło dochodzenie w związku ze zniknięciem tego dokumentu na przeddzień jednej doby.

Ujawnione przez „National Guardian“ fakty dotyczące stołu Rosenbergow oraz opublikowany przez „Combat“ rękopis Greenglassa zostały przez opinię światową przyjęte jako nowe okoliczności potwierdzające niewinność Rosenbergow i stawiające tym mocnej konieczność rewizji procesu. „Te data nowe elementy — pisze w numerze z dnia

przed dwoma laty procesu dla uwzględnienia ujawnionych w czasie późniejszych nowych okoliczności.

*

JAK zareagowały na te nowe fakty koła amerykańskie zbliżone do Departamentu Sprawiedliwości?

Dnia 25 maja br. zostało odrzucone przez Sąd Najwyższy w Stanach Zjednoczonych trzecie z kolei podanie obrońcy małżonków Rosenberg o rewizję procesu. W kolach tych uznano, że nowe dowody niewinności Rosenbergow „okazały się pozbawione wartości“. Według opinii prasy zachodnio europejskiej jednak zarówno fakt odroczenia decyzji Sądu Najwyższego do 25 maja, jak również fakt, że decyzja sądu zapadła siedmiu głosami przeciwko głosom dwóch sędziów, którzy opowiedzieli się za rewizją procesu, świadczą, że przedstawiony przez obronę nowy materiał dowodowy nie był bynajmniej „pozbawiony wartości“.

Odrzucenie przez Sąd Najwyższy w Waszyngtonie trzeciego wniosku o rewizję procesu sprawia, że nowa, czwarta z kolei apelacja obrony Rosenbergow do Sądu Najwyższego uzależniona jest od przedstawienia nowych faktów wskazujących na niewinność skazanych. Jednakże równo cześnie z odrzuceniem wniosku o rewizję procesu straciła ważność uprzednia decyzja Sądu Najwyższego w sprawie odroczenia terminu egzekucji. Aby otrzymać czas na nową apelację, obrońca Rosenbergow Emanuel Bloch złożył w dniu 26 maja przewodniczącemu Sądowi Najwyższemu w Waszyngtonie Vinsonowi podanie o odroczenie wykonania wyroku do pierwszego lipca. Równocześnie obrona złożyła wniosek o ponowne rozpatrzenie odrzuconej przed dwoma dniami przez Sąd Najwyższy prośby o rewizję procesu. Sędzia Vinson odmówił przyjęcia osobiste adwokata Blocha i przekazał mu z powrotem jego petycję z adnotacją

BŁĄD SATANOKRATYZMU

normy bezosobowej amoralnej sztuki sukcesu. Zapoznaje się treść etyczna problematyki społecznej i politycznej. Porządek nadprzyrodzony uznaje się oczywiście, ale chyba tylko jako dodatek do tej rzeczywistości empirycznie sprawdzalnej, i w tym charakterze przyznaje się mu posiadanie własnego celu absolutnego. Ale odłaj jedność natury ludzkiej jest już rozłożona, człowiek jest rozbity na dwa obce sobie wzajemnie pierwiastki, ma on służyć zarazem Bogu, i Mamonie, albo raczej Mamonie, a także i Bogu.

Stąd prosta droga wiedzie do pozycji dziesiętnastowiecznego separatyzmu w rozumieniu spraw religii i polityki, który nie tylko różnił te dwa zakresy pojęć, lecz co więcej uważał, iż są one od siebie wzajemnie najzupełniej niezależne. W perspektywie teologicznej sprawa wygląda tak, że przedstawia się Łaskę jako do datek do natury, która daje sobie zna komicie radę i bez niej. Łaska „frzyzuje” tedy tylko naturę, pokrywa „la kierem nadprzyrodzoności” rzeczy zdobyte bez jej udziału, który się praktycznie neguje.

Takie jest to teologiczne zagadnienie. Pozycja chrześcijańska znajduje się między tymi dwiema skrajnościami — między teologią „Łaski bez wolności” a teologią „wolności bez łaski”.

SYTUACJA DWUZNACZNA

Po tej pozytywnej, jak się wydaje, dygresji teologicznej — pokusimy się o pozytywną charakterystykę świata i rzeczywistości doczesnej, tak jak to rysuje się nam w świetle religii objawionej i oświeconego nia przyrodzonego rozumu ludzkiego.

W świecie dobro i zło są przemierzane, świat doczesny jako ta-

ki wcale nie jest z gruntu zły, posiew zła, w nim się krzewiący, jest czymś wtórnym. Walka w tym posiewem zła trwać będzie tak długo, jak długo trwać będzie świat i ludzkie. Pełne zwycięstwo nad złem nastąpi nie wcześniej jak u kresu czasów. To właśnie miał z pewnością na myśli Ewangelista, notując słowa przypowieści Chrystusowej o koku i pszenicy, które rósł mają przemieszane aż do czasu żniw, a wtedy to dopiero nastąpi zupełne usunięcie chwastów (Mat. 13, 24-30 i 38-43).

Wskutek skażenia natury ludzkiej grzechem pierworodnym człowiek czyni często niewłaściwy użytek z „materii” i „świata”. Ale błędem jest utrzymywać, że „materia” jako taka i ze swej istoty jest radykalnie zła, radykalnie skażona: Kościół podkreśla to w swej nauce mówiąc, że człowiek może zgrzeszyć nie tylko uczynkiem, lecz i myślą, a zatem właśnie w „duchu”. Walka tedy ze złem, mającym swe siedlisko nie w strukturach zewnętrznych świata doczesnego jako takich, ale właśnie w duszy człowieka, w jego uchylaniu się od wykonywania boskich posłańctw, koncentruje się przede wszystkim w płaszczyźnie moralnej „kuracji” charakteru i postawy życiowej człowieka. Ponieważ jednak te struktury doczesnego świata — struktury polityczne, społeczne czy gospodarcze — powołane do bytu ręką ludzką, wywierają ogromny, niekiedy wręcz decydujący wpływ na praktyczne postępowanie ludzi, na kształtowanie się ich charakteru i postawy etycznej, dlatego to właśnie praca nad ich uszlachetnieniem, ulepszeniem, orientowaniem ich na służbę człowiekowi, o s o b i e l u d z k i e j — jest jednocześnie pracą dla postępu moralnego ludzi.

Dokończenie ze str. 4

Wydaje się, że dość jasno rysuje się nam teraz różnica, zachodząca między idealistycznym, mechanicznym potępieniem rzeczywistości doczesnej i jej struktur jako takich — a realistycznym widzeniem faktycznych związków, uwarunkowań i proporcji, występujących w „fakturze” tej rzeczywistości.

To nie „świat” i „materia” są godne potępienia w przeciwstawieniu do nieskazitelnego rzekomo „ducha” — to postawa wewnętrzna człowieka rozstrzyga tu decydująco. Myli się ten, kto sądzi, że zajmując się sprawami doczesnymi brudzi siebie przez ten sam fakt, co więcej, że brudzi się bardziej niż wtedy, gdy przejawia pychę w stosunku do Boga i innych ludzi. Aby wyzwolić się od inwazji grzechu i zła, nie trzeba marzyć o „ucieczce” od świata, lecz trzeba wciągnąć się w realną, konkretną pracę nad uszlachetnieniem i udoskonaleniem zewnętrznych struktur świata doczesnego, a jednocześnie — w płaszczyźnie czysto religijnej pogłębić swój kontakt z Bogiem poprzez udział w życiu wewnętrznym Kościoła.

Obawa przed zbrukaniem siebie ręką przez włączenie się do historii jest obawą faryzejską. — Kościół nie przestał być czystym przez dotknięcie naszych brudów. — Niektórzy zdają się sądzić, że przyłożyli rękę do rzeczywistości, do tego realnego świata spraw ludzkich i stosunków ludzkich, gdzie grzech istnieje i krąży, oznacza pakowanie w grzechem, jak gdyby grzech przychodził z zewnątrz, a nie od wewnątrz.

Oto do jakich skrajności dojść można tą drogą.

SATANOKRATYZM WIEDZIE DO MISTYFIKACJI

PROBLEMATYKA błędu satanokratyzmu zawiera w sobie jeszcze jedno niestychanie niebezpieczne zjawisko. Jest to pewna modyfikacja naszkicowanej na początku artykułu manichejskiej koncepcji współistnienia w świecie dwu równorzędnych pierwiastków — dobra i zła, z tym jednak, że przekłada się te opinie teologiczne na język konkretny, specyficznie polityczny. Chrześcijanie stają się wówczas żołnierzami — w określonym, dosłownym sensie politycznym tego terminu — zwalczającymi zwykłymi, ziemskimi, materialnymi środkami żołnierzy innych „armii”, tzn. wyznawców innych religii i światopoglądów.

Schemat takiego rozumowania jest dosyć prosty i dlatego tym więcej niebezpieczny przy całej swojej pozornej logiczności. Oto wychodzi się z założenia, że chrześcijanie są posiadaczami najwłaściwszej prawdy — prawdy o Bogu. Ponieważ, dalej, naczelnym zadaniem chrześcijan jest doprowadzenie wszystkich ludzi do Boga, a właśnie chrześcijanie są posiadaczami prawdy o tym Bogu, zatem są oni ipso facto czymś lepszym, szla chętniejszym od niechrześcijan, a zwłaszcza od ludzi areligijnych. Przy czym atrybut ten przypisuje się im, najoczywiej mylnie, nie tylko w rzeczach religii i etyki, ale we wszystkich w ogóle sprawach.

I wówczas to jesteśmy świadkami najwyraźniej przesadnego przywiązania przez katolików ogromnej, zasadniczej wagi do tego, co jest formą zewnętrzną. Dążność o to, aby każda ich inicjatywa i każde ich posunięcie były opatrzone przymiotnikiem „katolicki”, przerasta często bar dziej istotną troskę, aby to, co się czyni, było katolickie w sensie wewnętrznym, to jest wewnętrznie moralnym. A chyba już sam termin „katolicki” winien implikować i wyrażać dostatecznie jasno powszechność, uniwersalizm katolicyzmu, który jest własnością wszystkich ludzi, tak jak wszystkich ich stworzył i odkupił ten sam Bóg.

Pogląd taki jest zresztą właściwy nie tylko ludziom ulegającym błędowi satanokratyzmu, ale u nich przejawia się on w szczególnie ostrej, agresywnej, chociażby się powiedzieć, postaci. To wszystko, co nie nosi na zewnątrz etykiety „katolicki”, to wszystko ci ludzie są skłonni uznawać za rzecz satanicką. Źródło nieporozumienia, brzemienne w tak poważne konsekwencje, tkwi w naiwnym rozumowaniu wielu nawet ścinadną poważnych katolików, którym wydaje się, że katolicyzm to nie tylko określona religia i światopogląd, lecz że jest to także określony jednoznacznie, jednolity, obowiązujący wszystkich katolików z rąbki przynależności do Kościoła, pogląd na sprawy polityki czy, ogólniej, na wszystkie sprawy dotyczące doczesnego świata.

Na pozór polityka tutaj teologii i to dla wielu wydaje się czymś naturalnym i właściwym. Ale polityka jest czymś zgoła innym niż bezpośrednim wcieleniem w życie prawd teologicznych, wzajemne związki teologii i polityki są znacznie bardziej skomplikowane i wcale nie bezpośrednio. W rzeczywistości sprawa ma się tu wręcz odwrotnie: oto teologia służy tutaj polityce. Świadomie czy nie, podstawią się doczesne interesy grup społecznych, których członkami są ci katolicy, pod pojęcie interesu powszechnego Kościoła jako takiego, a pojęcie teologii używa się do motywacji posunięć politycznych.

Jaskrawy dowód tego odnajdujemy w aktualnej propagandzie anglosaskiej, która swoje agresywne plany ubiera w szaty obrony religii, obrony praw Kościoła. Nie trzeba chyba do wodzić, jak bardzo gorszący dla

chrześcijanina musi być pogląd uzależniający przyszłość chrześcijaństwa w świecie od wyników nalotów napalmowych czy użycia broni atomowej.

CHRZEŚCIJANIE WOBEC ŚWIATA DOCZESNEGO

WYDAJE mi się, że z tych krytycznych uwag, którymi opatrzywałem dość często wśród katolików spotykane błędy w rozumieniu istoty świata i społeczności ziemskiej — można zbudować w najgrubszym zarysie pozytywny pogląd na te sprawy, pogląd wykluczający zarówno pojęcie „łaski bez wolności”, jak i „wolności bez łaski”.

Dla chrześcijanina świat doczesny nie jest niepodzielna domeną władania Księcia Cierności. Zło nie jest jakimś substancjalnym pierwiastkiem rzeczywistości stworzonej. Zło gnieździ się w duszach ludzi. W strukturach zaś doczesnych jest ono wynikiem wadliwego ukształtowania stosunków międzyludzkich, wtedy kiedy nie dają one perspektyw rozwoju każdemu człowiekowi i coraz pełniejszego opanowywania przez człowieka materii. Jeśli te struktury są złe i uniemożliwiają człowiekowi realizację jego celów osobowych — to trzeba podjąć walkę o ich przemianę, zdając sobie z tego sprawę, że nie wolno mechanicznie transponować pojęć teologii na język polityki. Świat doczesny został przez Boga stworzony jako naturalne pole rozwoju osobowości człowieka i sposobienia się do przyszłego żywota poza wszelkim czasem, sposobienia się do tego Królestwa Bożego, które nie będzie z tej ziemi, lecz obejmie wszystkich wskrzeszonych po Dniu Sądu Ostatecznego, którzy zasłużyli sobie na oglądanie Boga twarzą w twarz. Ale nie znaczy to, że ziemskie życie ludzi i ziemska społeczność były tylko zwykłym i prostym środkiem do uzyskania tej szczęśliwości wiecznej, terenem, na którym chrześcijanin zdobywa zbawienie. Sam z siebie porządek ten posiada jednak swój własny cel, jakim jest najlepszy kształt warunków społecznych, zaspokajających doczesne potrzeby ludzkie. Dla chrześcijanina walka o doczesne dobro wspólne nie jest celem absolutnie ostatecznym, nie mającym odniesienia do żadnego celu wyższego. Wprost przeciwnie, wzajemny związek i podporządkowanie hierarchiczne porządku doczesnego porządkowi nadprzyrodzonemu jest dla chrześcijanina czymś najzupełniej oczywistym.

Porządek doczesny, przyrodzony realizuje się przez udział w życiu doczesnej organizacji społecznej, państwowej — porządek nadprzyrodzony przez życie w Kościele. Boskie nie stoi ze swej natury w opozycji do cesarskiego, różnice i odrębności oznaczają sferę działania i przedmiot bezpośredni, a nie wzajemne wykluczanie się.

Zaangażowanie się katolików — właśnie jako obywateli doczesnej społeczności ludzkiej — w walkę o nowy kształt ustroju społecznego służy realizacji ostatecznego celu osobowego człowieka, służy mu wprawdzie tylko pośrednio, tj. przez stwarzanie korzystniejszych warunków zewnętrznych dla dzieła doskonalenia się wewnętrznego i dochodzenia do świętości, ale nie może być realizacją tegoż celu przeciwstawiane jako zasadniczo wykluczające się z nim. Ponadto nie jest to obojętne, że udział w walce o wielkie osiągnięcia społeczne wywala w ludziach walczących szlachetne wartości ludzkie, wzmacnia i kształtuje ich osobowość. Wydaje się, że przezwyciężenie błędów satanokratycznej koncepcji świata przyczyni się w jakimś stopniu do zrozumienia, nie tylko godziwości takiego zaangażowania, lecz i jego konieczności.

Ignacy Rutkiewicz

Zbrodniczy proces, który obciąża rząd USA

się nawet projekt prewencyjnego zamknięcia osób podejrzanych o „komunizm” w obozach koncentracyjnych. Przez zasądzenie „dla przykładu” Juliusza Rosenberga, amerykańskiego obrońcy pokoju, chciano wytworzyć w opinii amerykańskiej przekonanie, że każdy obrońca pokoju jest zamaskowanym szpiegiem obcego wywiadu, chciano izolować i zastraszyć tych wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy przeciwstawiliby się wojennym planom swego rządu.

Ale ślepacze z F.B.I. nie docenili siły moralnej swoich ofiar. Trwający przeszło dwa lata szantaż egzekucyjny nie zdołał zalać małżonków Rosenberga. W przeddzień rozpatrzenia ich pierwszego wniosku o rewizję procesu przez Sąd Najwyższy w Waszyngtonie, kiedy postawa ich mogła zaważyć na decyzji sądu, przekazali na ręce swojego obrońcy następujące oświadczenie: „Nie chcemy umrzeć. Jesteśmy młodzi i chcemy życia długiego i owocnego. Jeżeli jednak nie ma innego wyjścia niż życie kupione za cenę rezygnacji z godności osobistej, walki o demokrację i nasze ideały etyczne, to stawiamy przed sobą żadnej przyszłości ani niczego, co moglibyśmy pozostawić naszym dzieciom i tym, którzy by nas przeżyli”.

Równocześnie z konsekwentnym odrzucaniem kolejnych wniosków o rewizję procesu i prośby obrony o odroczenie terminu egzekucji wzywała nacisk kół zblizonych do Departamentu Sprawiedliwości na Rosenberga. Juliusz i Ethel Rosenberg, dodają te słowa — pisze „La Croix” z 27 maja br. — mogą zawsze wniknąć głównej kary „jeśli zdecydują się mówić”. Zostali oni znawcy osobistej poinformowani, że jeśli mają świadomość, iż fakty nie zostały dostatecznie dotąd naświetlone i jeśli się

Ciąg dalszy ze str. 5

decydują je ujawnić, ich oświadczenia będą wzięte pod uwagę”. W dniu 2 czerwca z polecenia ministra sprawiedliwości USA Bronwelia Rosenberga odwiedził w więzieniu dyrektor Federalnego Urzędu Więziennictwa Bennett, który usiłował nakłonić ich w zamian za obietnicę ulaskawienia do złożenia dodatkowych zeznań potwierdzających ich winę. Po wizycie Bennetta Rosenbergowie złożyli na ręce swojego obrońcy oświadczenie:

„Wczoraj Minister Sprawiedliwości USA zaproponował nam dokonanie „tranzakcji”. Oświadczył on nam, że jeśli będziemy współpracowali z rządem, to życie nasze zostanie uratowane. Domagając się od nas abyśmy zaprzeczyli prawdzie o naszej niewinności, rząd przyznaje, iż wątpliwość o naszej winie.

„Oświadczyliśmy urażeniście i ostatecznie, że nawet pod groźbą śmierci nie damy się zmusić do złożenia fałszywych zeznań i przyciśnięcia na rzecz tyranii z naszych praw wolnych Amerykanów. Nie kupujemy naszym sumieniem, godnością człowieka i poszanowaniem prawdy.

Jeśli zostaniemy straceni — będzie to mord dokonany na niewinnych ludziach i hańba za to spudłanie na rząd Stanów Zjednoczonych”.

CZYM daje się wytłumaczyć tą nieugiętą i heroiczną postawą obojga skazanych w obliczu śmierci? Czy jest prawdopodobne, aby na taką postawę mógł się zdobyć zwykły „płatny szpieg”, jak to sugeruje wersja aktu oskarżenia?

Niezłomna postawa małżonków Rosenberga wobec sądu płynie nie tylko z ich niewinności, ale i z ich

pełnej świadomości znaczenia tego procesu i sensu godzenia na ich życie przez podporządkowaną kołom rządowym „sprawiedliwość” amerykańską. Płynię z pełnego zrozumienia, że współczesna walka o pokój dla ludzkości nie polega już — jak dotychczasowe inicjatywy pacyfistyczne — na łzawych, bezsilnych apalach do rządów imperialistycznych, ale wymaga nieugiętej i pełnej poświęcenia walki przeciw siłom wojny. Rosenbergowie nie ugięwszy się pod presją tych sił i do ostatka demaskując je przed masami całego świata, dali przykład najwyższego poświęcenia.

„Liczę na was i wy możecie liczyć na nas” — pisał z więzienia do przyjaciół na całym świecie Rosenberg. Rosenbergowie swoją postawą nie zawiedli oczekiwań. Ich konsekwencja zobowiązuje. Zobowiązuje uczciwych ludzi całego świata do wzmocnienia wysiłków w celu niedopuszczenia do mordu na niewinnych.

Jeżeli jednak głos oburzenia milionów uczciwych ludzi świata nie zapobiegnie zbrodni, która obciąża odpowiedzialnością koła rządzące Stanów Zjednoczonych, słowa Juliusza Rosenberga pisane z więzienia pozostaną dla nich nadal zobowiązaniem. Są one wezwaniem rzucanym obrońcom pokoju wszystkich krajów o kontynuowanie dzieła, dla którego Ethel i Juliusz Rosenbergowie nie zawahali się poświęcić życia. Wezwaniem do wzmocnienia walki o to, aby w przyszłości nie dopuszczono do podobnych zbrodni imperializmu, aby spełnić na zawsze zbrodnicze ręce i złać siły wojny, których cynizm i bezwzględność ujawniły się tak jaskrawo w tym procesie.

Janusz Zabłocki

Tadeusz POWIDZKI

JAN JÖRGENSEN

W jednej z prac hagiograficznych duńskiego poety Jana Jörgensena, o życiu i dziele św. Benedykta z Nursji — znajdujemy ciekawą postać zakonnika, O. Dezyderiusza. Zakonnikiem tym jest były profesor Szkoły Przemysłu Artystycznego w Norymberdze — architekt, rzeźbiarz i malarz Piotr Lenz, który w czterdziestym czwartym roku swego życia (1873) złożył śluby zakonne w Beuron. I w tymże to bawarskim klasztorze O. Dezyderiusz był twórcą znanego w historii sztuki tzw. stylu beurońskiego. W pierwszych latach bieżącego stulecia artysta-zakonnik przeniósł swe atelier z malowniczego Beuron do owianego romantyzmem klasztoru na Monte Cassino, gdzie talent jego rozwinął się w całej pełni. W sędziwe mury uświęcone zgonem założyciela, słynne ze swych skarbow nauki, techną na ducha piękna. Wszystkie zakątki ozdobił swą sztuką architektoniczną, rzeźbiarską i malarską. W krypcie, w której bracia zakonnicy przed wiekami złożyli na wieczny spoczynek swego wielkiego świętego Ojca obok jego siostry, św. Scholastyki, ustawił dwa monumentalne posęgi świętego rodzeństwa, a samej krypcie nadał bezcennego blasku, pokrywając jej sklepienia barwną mozaiką na złocistym tle. W świątyni klasztornej nastroja do miedlitwy wielki obraz ukrzyżowania Chrystusa jego pędzla. We wnętrzach sal, po kłatkach schodowych, w najmniejszych nawet zakamarkach — wszędzie przejawiało się technię jego artysty. Spod jego ołówka wychodziły szkice najdrobniejszych nawet szczegółów zdobniczych — od drzwi, klamek, okuć.

Wobec całokształtu twórczości Jörgensena trudno oprzeć się wrażeniu, że pomiędzy poetą duńskim a tym zakonnikiem-artystą istnieje bliskie pokrewieństwo duchowe. Bowiem jak tamten — i on stworzył dzieła imponujące monumentalnością tematu i wykonania, wykazał taką samą wszechstronność, choć tworzyłem jego sztuki nie jest linia, barwa, forma i bryła, a jedno jedyne, może jednak najwzdzierzejsze i najpotężniejsze — słowo. Z niego stawia pomniki „aere perennia”, wyczarowuje mozaiki, obrazy historyczne i rodzajowe, miniatury technące pięknem prawdy i żywocią barw przyrody.

Monumentalnością swych trzech wielkich dzieł hagiograficznych, poświęconych żywotom św. Franciszka z Assyżu, św. Katarzyny ze Sieny i św. Brygity z Vadstena, Jörgensen przewyższa O. Dezyderiusza. Są to dzieła tak wszechstronne, barwne i tryskające życiem, a przy tym tak zrozumiałe dla wszystkich, jakich nie jest zdolna stworzyć sztuka plastyczna. Intuicja i fantazja twórcy poety duńskiego znalazła silne oparcia w głębokiej wiedzy, doskonałym przygotowaniu do badań naukowych, w benedyktyńskiej wreszcie cierpliwości i wytrwałości w wyszukiwaniu po archiwach i bibliotekach prawdy historycznej. Dzięki temu monumenta,

które wyszły spod pióra Jörgensena, ukazują się nam w pełnej prawdzie życia, na bogatym tle prądów duchowych i życia kulturalnego danej epoki, a równocześnie w pięknej aureoli poetyckiego ujęcia.

Co mogło natchnąć duńskiego pisarza, urodzonego i wychowanego w środowisku protestanckim, do zagłębienia się w tajemnicach życia wielkiego świętego z Assyżu?

Niewątpliwie to, że Biedaczyna Boży był mu bratnią duszą, jako twórcą „Hymnu do słońca”, a przede wszystkim to, że młode lata Franciszka Bernadone śpiewającego prowansalskie pieśni przy dźwiękach lutni, w wesółym gronie, przypominają żywo własne przeżycia Jörgensena z młodych lat. W czasach młodości nie otaczał go bynajmniej ten „odor sanctitatis”, w którym dziś — w cieniu katedry św. Franciszka w Assyżu — żyje blisko dziewięćdziesięcioletni poeta. Aby się o tym dowiedzieć, nie trzeba uciekać się do autobiografii jego „Mit Livs Legende”, wydanej przed czterema laty u kopenhaskiego Gyldentala, tym „gnieździe skandynawskich ptaków śpiewnych”. Wystarczy przyrzeć się jego pierwszym utworom, zwłaszcza poematom, z których zawiewa nas często ów oszalałymi zapach baudelairowych „Fleurs du mal”. Oprócz francuskich — w poezji tej znać wpływy najrozmaitsze: angielskiego byronizmu, panteizmu Shelley'a, niemieckiego romantyzmu Tiecka, Novalisa, a zwłaszcza Heinego, któremu poeta duński w niejednym wierszu dorównuje melodyjnością i głębią liryzmu. Te utwory Jörgensena spotykają się z najprzychylniejszą oceną takiego autorzytu, jakim nie tylko dla małej Danii, lecz i dla całej literatury światowej, był autor „Głównych prądów literackich XIX wieku” znany — pieno titulo — Jerzy Morris Cohen Brandes, herald postępu i wolnomyślicielstwa.

Autobiografię Jörgensena warto poznać bliżej. Postać duchowa pisarza duńskiego, jego długi, obfitujący w wiele cierni i niebezpiecznych zakrętów droga z rodzinnego, protestanckiego miasteczka portowego, Svendborga, do uświęconego błogosławieństwem Igrca Bożego cichego Assyżu, przedstawia się nam w pełnym realizmie nieukrywanej prawdy.

Jörgensen pisze o sobie w „Legendzie mego życia” z ujmującą szczerością, bez najmniejszej chęci pozowania na wielkość w literaturze. Przed naszymi oczyma zarysowuje się wyraźnie charakter poety, bez ukrywania słabych stron. Po przychylnym przyjęciu pierwszych utworów Jörgensen zaciąga się do ciężkiej orki dziennikarskiej, gdzie pisać musi o wartości paszy skoncentrowanej przy tuczu bydła i o pożyteczności dobrej wentylacji. I choć niehawem awansuje na stanowisko sekretarza redakcji, przy pracy tej czuje się jak Dedał w niewoli Minosa, przygotowujący skrzydła do ucieczki. Niewola ta nie przeszkadza mu jednak w używaniu życia w wesółym i rozruchanym gronie kopenhaskiej cyganerii. Mimo wszystko nadchodzi go częste chwile melancholii, w których czuje się jak Ahaswer ścigany przez los do „Sadnego dnia”. Przeżycia tych czasów ilustruje nie tylko powieść pod wyższym tytułem, lecz i szereg dalszych wydanych w latach od 1888 do 1894 („Bajka wiosenna”, „Obcy”, „Drzewo życia”, „Lato”, „Dzień ostatni”).

Powieść nie jest jednak bynajmniej najlepszym wyrazem twórczości Jörgensena. Stwierdza to otwarcie on sam, a nie tańi tego i jego

najbliżsi przyjaciele, z cenionym poetą, Viggo Stuckenbergiem, i małżonką tegoż, Ingeborgą, Egerią całego grona, na czele. Dzięki swej problematycie zajmująca jest powieść „Vor Frue af Danmark” („Matka Boska Duńska”). Do najbardziej poczytnych powieści Jörgensena zaliczyć należy dwie, osnute na tle pierwszej wojny światowej, „Klokke Roland” (Dzwon Roland) i „Lew Flandrii”, w których autor żywo przedstawia bohaterkie wysiłki narodu belgij-



Jan Jörgensen

skiego w walce z najazdem hord saskich Wilhelma i ukazuje barbarzyńskie zachowanie się tych wojsk wobec bezbrodnej ludności i bezcennych dzieł sztuki.

Najpiękniejszą i najcenniejszą stroną w twórczości Jörgensena jest liryzm, którym opromienia on wszystkie swe utwory. Źródłem poezji tego autora bije niemal nieprzerwanie do roku 1919, potem zasycha, znajdując jednak silny odzłwik jeszcze we wszystkich dziełach pisanych prozą. Głębokim liryzmem przepojony jest przepiękny utwór, stanowiący niejako przygotowanie do wielkiego dzieła o św. Franciszku z Assyżu, „Księga pielgrzymy”, której polska tłumaczka, p. Mantuffel, za przykładem francuskim dała tytuł „Pielgrzymki franciszkańskie” (wyd. Holsicka, 1928). Liryzm wyczuwany również w niejednym ustępie pomnikowego, 500-stronicowego dzieła Jörgensena o Bożym śpiewaku assyżskim, napisanego po przestudiowaniu setek źródeł, poczynszy od współczesnych świętemu braci zakonnych, a skończywszy na pracy najsamienniejszego badacza żywota i dzieł autor „Hymnu do słońca” oraz założyciela muzeum franciszkańskiego, Sabatiera.

I tu słówko o metodzie pracy duńskiego pisarza i poety. Gdy przed oczyma jego duszy zarysowuje się postać historyczna, którą zamierza przedstawić nam w swym dziele, zabiera się do pracy jak sumienny malarz artysta. Pracownia Matejki była prawdziwym muzeum strojów, broni i zbroi rycarskiej, słowem wszystkiego, co ukazać się miało na jego wielkich płótnach historycznych, a teki naszego malarza pęczniały od setek szkiców poszczególnych postaci, które miały ożyć pod pędzlem artysty — szkiców, poświęconych najdrobniejszym nierez szczegółom. Tak i Jörgensen zamierzając dać nam obraz np. św. Franciszka, zagłębia się najpierw w ducha współczesnej mu epoki, w jej kulturę, następnie bada i porównuje z sobą wszystkie źródła, a wreszcie zwiędza z pielgrzymim pędzlem wszystkie miejsca dotknięte stopą świętego, aby jak on wehłonać w siebie ich nastroje. I zanim przystąpi wreszcie do właściwego dzieła, daje nam do niego nie jako uverture — artystycznie wykończony szkice we wspomnianych „Pielgrzymkach — franciszkańskich”. Drugim takim szkicem — czy raczej całą ich teką — w którym uprzymy czarujące piękno najbliższej ojczy-

ny świętego, jest „En umbrik Krönike” (Kronika umryjka). Potem dopiero pisze swe wielkie dzieło „Den hellige Frans af Assisi”.

Podobnie opracowanie żywota św. Katarzyny poprzedza opisami pięknej Sieny, jej historii i jej skarbow sztuki. Ponadto zwiędza i opisuje San Leonardo al Lago i odległe Laceto, podążając tam poprzez lasy, które rozbrzmiewały pieśniami św. Katarzyny, Alessji Sarrasini, jej przyjaciółki, i innych bliskich jej świątobliwych dziewic. Sieny jest też pełno w pięknym opowiadaniu o Giovannim Colombini, który rzuca swe bogactwo i staje się sługą Bożym w założonej przez siebie kongregacji („Święty ogień”).

Trzecia wreszcie praca hagiograficzna Jörgensena w wielkim stylu, zyciorys tak bliskiej jego skandynawskiemu sercu królowej szwedzkiej Brygity, poprzedzona jest także na strojowymi opisami Vadstena, gdzie według planów świętej zbudowano „błękitną katedrę”, opisami ruin jej klasztoru tamże oraz klasztoru w Alvastra, w którym owdowiała Brygita przygotowywała się do podróży do Rzymu, by stać się nawoływać papieża Urbana do powrotu z Avignon.

Ciekawe również są mniejsze prace hagiograficzne duńskiego pisarza, zawarte w zbiorze „I det o Højde”. (w przekł. polskim Ign. Geperta z r. 1914 w Wyd. św. Wojciecha za przekładem francuskim de Wyzwy „In excelsis”). Jörgensen opowiada tam o ludziach, którzy poszli śladami św. Franciszka i kroczyli przez życie nie po wydeptanych ścieżkach, lecz „na wyżynach”. A więc o św. Anieli z Foligno, o pięknej Małgorzacie z CorTony, która wyrzucona z domu przez macechę doszła do wyżyn świętości po okresie występnego życia, wreszcie — o św. Camilli Battista di Verani, córce księcia na Camerino w marchii Arkońskiej, dziewicy po siadającej najwyższe w epoce renesansu wykształcenie, autorce pięknych stanc. Jedną z nich, wyrażającą tęsknotę za światłem nieziemskim, Jörgensen podaje we własnym przekładzie na wstępie barwnego zyciorysu.

LECZ nie tylko życiem świętych zainteresował się duński pisarz. Niemniej głęboko wnikał w ducha literatury światowej, jak o tym wymownie świadczą mnóstwo jego esejów i szkiców literackich. Po odejściu od brandezjanizmu, Jörgensen zakłada własne pismo literackie „Taarnet” (Wieża) — nazwa zapożyczona z powieści Huysmansa „La-bas” — w którym z szeregiem współpracowników takich, jak Stuckenberga, Sophus Michaelis, M. Ballin, rozwija program walki z naturalizmem. Wybitnym krytykiem lite-

rackim okazuje się w swych esejach „Od Baudelaire'a do Strindberga”, w których daje wnikliwe charakterystyki autorów francuskich, angielskich, amerykańskich. Jasno maluje on burzliwe, nieszczeniwe życie i twórczość największego bodaj idealisty-pateisty, Shelleya (Percy Bishshe), daje wyraźną fizjognomię duchową Edgara Poe „szukającego piękna, gdy Ameryka kocha złoto”, — dalej pieśniarza „zaginionych i ginących kultur, nienawidzącego postępu” autora „Pecheur d'Islande”, Piotra Loti, uważając za najlepszą z jego powieści „Romans d'Islande”, koncentrujący wspomnienia bezgranicznej melancholii wielkich pustyń wodnych. Ze szczególnym sentymentem odnosi się do Pawła Verlaine'a, niewątpliwie z powodu bliskiego duchowego pokrewieństwa. W dalszych esejach — na tle wyczerpującego po glądu na współczesną mu literaturę francuską omawia twórczość J. K. Huysmansa i Leona Bloy. Strindbergowskie „Inferno” jest dla Jörgensena interesującym pendant do „En route” Huysmansa. Ale droga dla Strindberga jest znacznie trudniejsza niż dla katolika z urodzenia, Huysmansa. „Ten zdążył ku Kościołowi prostą drogą, Strindberg zaś błądził poprzez wszelkiego rodzaju sekty i szuka nauczycieli, na których mało tylko, lub wcale polegać nie można”.

W innym zbiorze szkiców literackich („Litteraere Skitser”), włączonych do 7-tomowego wydania „Dzieł wybranych” Jörgensena, znajdujemy omówienie poezji w utworach H. C. Andersena. Autor dzieła o św. Franciszku stwierdza, że „tak głębokie uczucie, iż jest obywatelem całego świata, bratem wiatru, i znajduje się w pokrewieństwie z ptakami i kwiatami, przenika niewielu tylko nowoczesnych poetów w tym stopniu, co Andersen”, który „mimo swego nadzwyczajnego polotu fantazji odznacza się silnym wyczuciem rzeczywistości”. Za najwyższy wyraz twórczości Andersena Jörgensen uważa miłość wszystkich, co ludzkie. „Tym, co posiada pewną wartość, jest szczęście”, a najpromienniejszym symbolem szczęścia jest słońce, będące „własnością każdego dobrego człowieka, każdego dziecka, każdego geniusza, będącego tylko wielkim dzieckiem”. W „Szarym romantyzmie” Jörgensen poddaje ostrej krytyce sztukę pod powyższym tytułem Edvarda Brandesa (brata Jerzego). Porównując sztukę z utworami Holgera Drechmanna stwierdza, że jest między nimi, a tą sztuką takie podobieństwo, jak „między kobietą żywą w pełni krasy młodości, a jej szkieletem — oczyszczonym, spreparowa-

(Dokończenie na str. 11)

Śp. Prof. Emil Wyrobek

Zmarły dn. 10 maja br. w wieku lat 80, był mocno związany z Krakowem — któremu poświęcił pracę całego życia. Pedagog postępowy, wyprzedzający swoje pokolenie, będąc profesorem IX gim. męsk. i żeńskiego seminarium nauczycielskiego w Krakowie wychował liczne kadry młodzieży. Wpływ jego na obozenie polegał na głębokiej znajomości psychiki człowieka i na wielkim współczuciu, które budziła zawsze w Zmarłym choroba i nieszczęście.

Połączywszy studia medyczne ze znajomością nauk przyrodniczych, wybrany stylistą i popularyzatorem wiedzy, wydał szereg dzieł z zakresu medycyny („Choroby a małżeństwo”, „Choroby weneryczne” (pięć wydań), „Alkoholizm”, „Choroby nerwowe i umysłowe” i in., oraz z

zakresu przyrody („Życie zwierząt” w 5 tomach, „Wśród lasów i pól”, „Wśród dolin i gór”, „Z głębin wód”, „Księga wynalazków” i in.).

Wszechstronne jego zamiłowania obejmowały również etnologiczne, wykłady jego w radio budziły duże zainteresowanie. Prof. Wyrobek był propagatorem regionalizmu, zachęcał do zbierania cennych zabytków kultury ludowej.

Przyrodnik i lekarz zarazem — był także pionierem zielarstwa polskiego. Entuzjasta, oceniający wartość ziół, wydał kartkowy atlas roślin leczniczych i przygotował dużą pracę z zakresu zielarstwa. Przez liczne artykuły w pismach podnosił znaczenie ziołolecznictwa, zdobywając mu mnóstwo zwolenników.

(H.T.)

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAZE

Cena zł 15.—

Janina Kolendo
SZUKAJĄC DROGI

Cena zł 20.—

Tadeusz Gałcy
UTWORY ZEBRANE

Cena zł 25.—

Nowak Dłużewski
KS. STANISŁAW KONARSKI
Monografia

Cena zł 20.—

Wysłać Biuro sprzedaży „PAX”, Mokotowska 44, Warszawa za załączonym listem lub po wpłacie na konto PKO nr 1-8515 z dodatkiem zł 3 — na koszty orzecwki

Michał PIWOWARCZYK

DYKTATURA NA WULKANIE

JEST w Ameryce łacińskiej republika Kolumbia, zwie się tak od imienia wielkiego odkrywcy amerykańskiego kontynentu, Krzysztofa Kolumba. Kraj to bardzo zasobny w naftę i inne surowce, bogaty w plan tacje kawy i bananów, liczący około 12 mln. mieszkańców, czyli trzeci co do gęstości zaludnienia po Brazylii i Argentynie kraj Ameryki Południowej. Położona pomiędzy Pacyfikiem, stanowiącym granicę zachodnią a morzem Karaibskim na północy — Kolumbia niewątpliwie zajmuje kluczową pozycję w strefie Kanału Panamskiego, który dla Ameryki jest tym, czym Suez w obrębie Bliskiego Wschodu i Afryki dla Anglii.

Jak wszystkie inne — dwadzieścia republik łacińskich — Kolumbia, to kraj zadziwiających kontrastów. Z nowoczesną i doskonałą komunikacją lotniczą współzawodniczy tu ubóstwo dróg kolejowych i transportu rzeczno-terenowego, chociaż 900 km rzeka Magdalena stanowi wielką arterię wodną, przecinającą cały kraj. Z drapaczami chmur stolicy graniczą nędzne domki Indian. Patrząc na te drapaczki chmur w stolicach łacińskich, La Paz, Rio de Janeiro, Bogocie, Europejczykowi wydaje się, że jest w Stanach Zjednoczonych. A wspaniałość krajobrazu wzmaga to wrażenie przepychu i bogactwa. A jednak, mimo przepychu centralnych arterii stolice łacińskiej Ameryki, jest to jeszcze kontynent nędzy i głodu, większego być może niż w południowo-wschodniej Azji.

Cechą charakterystyczną i właściwą Ameryce Południowej są kontrasty społeczne między nędznym proletariatem wiejskim i miejskim, a warstwą uprzywilejowaną, mającą dostęp do wszystkich korzyści i nowoczesnego zbytku. Tym właśnie różni się Ameryka Południowa od południowo-wschodniej Azji i od Afryki, które cierpią taką samą nędzę, lecz nie mają ani drapaczy chmur, ani samolotów jako środków transportowych.

Dysproporcje sięgają na tym kontynencie również w sferę stosunków moralnych. W Kolumbii szczególnie jaskrawo odbijają od powszechnej pobożności i religijności mieszkańców, pancerzując się korupcją i plagą złodziejstwa. Niegdyś Kolumbia słynęła jako kraj o wysokiej moralności publicznej. Dziś korupcja administracji przybrała rozmiary epidemii. Obok nich krzewi się złodziejstwo, które przedstawiciele światła-przestępczego doprowadzili do szczytu mistrzostwa i perfekcji.

Kolumbia daje olbrzymie zyski milionom, przede wszystkim koncernowi naftowemu Rockefellera, który opanowawszy gross koncesje jest jakby państwem w państwie. Po pięciu latach amortyzacji się inwestowane tu kapitały, ale równocześnie robotnik kolumbijski otrzymuje 5 — 10-krotnie niższe wynagrodzenie niż robotnik amerykański, a koszty utrzymania w 1952 r. były kilkakrotnie większe niż 5 lat temu. Katolicki publicysta Ameryki Łacińskiej, Pablo Salcedo, pisał w ub. roku, że z winy właścicieli ziemskich w najcięższej sytuacji znajdują się w Kolumbii robotnicy rolni. Liczby statystyczne dotyczące śmiertelności dzieci, higieny, niedożywienia, chorób zakaźnych, analfabetyzmu utrzymują się prawie na tym samym poziomie od stu lat.

ZALEŻNOŚĆ OD WASHINGTONU

WSZECHWŁADZA wielkich zagranicznych monopolii, przeważnie amerykańskich, rządzących naftą kolumbijską i tropikalnymi plantacjami, wzdłuż rzeki Magdaleny, przejmającej kraj z północy ku południowi — wyznacza kierunek zagranicznej polityki rządu w Bogocie. W tym względzie b. wielomówni są sprawozdania ONZ. Na VI sesji Narodów Zjednoczonych delegat kolumbijski głosił największą ilość razy

za wnioskami amerykańskimi. Głosował on nawet razem z USA przeciwko rezolucji w sprawie kryteriów określenia dojrzałości kraju kolonialnego do samostanowienia, mimo, że inne kraje łacińskie głosowały albo za wnioskiem (14 republik), albo wstrzymały się od głosowania (5). Spośród krajów łacińskiej Ameryki tylko Kolumbia, Peru i Ekwador ratyfikowały przed końcem ub. roku pakt wojskowy półkuli zachodniej, na



Laureano Gomez

zruczony przez Stany Zjednoczone. Kolumbia jako jedyna wysłała kontyngent żołnierzy na wojnę w Korei, a ostatnie informacje o wymianie jeńców, chorych i rannych w Pannundżon wspominają o powrocie 5 kolumbijskich żołnierzy z obozów jeńców do ojczyzny. I wreszcie republika kolumbijska zapisała się w historii ostatniej wojny jako raj dla hitlerowskiej 5 kolumny, choć z wygodnego azylu korzystali oni także i korzystają w innych republikach.

Ta ultra-pro-amerykańska polityka zagraniczna rządu i jego nazistowskie sympatie nie stanowią — rzecz jasna — o politycznym obliczu Kolumbii, o sympatiach i dążeniach całego narodu. Fakty wyliczone powyżej charakteryzują jedynie rząd kolumbijski, rząd najkrwawszej na całym kontynencie amerykańskim dyktatury stronnictwa konserwatystów. Przeciwnie: profil stosunków politycznych w tym kraju zarysowuje się bardzo wyraźnie w postaci trwającej od kilku lat wojny domowej. Cała Ameryka Łacińska przeżywa olbrzymi kryzys społeczny. Od Meksyku do cieśniny Magellana — wszędzie nurtują głębokie i silne procesy w kierunku emancypacji społecznej i politycznego wyzwolenia i do głosu dochodzą masowe ruchy ludowe. W Kolumbii ten proces wyraża się w ludowych do roli głównego czynnika politycznego w kraju wyraża się właśnie w formie wojny domowej, a więc w sposób najbardziej widoczny i najmocniej rewolucyjny. Dyktatura rządu w Bogocie i stronnictwa konserwatystów stanowi próbę ze strony sił konserwatywnych zahamowania lub zgnielenia rewolucyjnych dążeń mas ludowych przy pomocy terroru, wojska i policji.

PROBLEMY KATOLICYZMU

BOGOTA — stolica kraju — wygląda na spokojne miasto. Wieżowce rywalizują wysokością z wieżami barokowych kościołów, tak charakterystycznych dla większości metropolii łacińskiej Ameryki. W święta wierni cisną się do kościołów — Kolumbijczycy są pobożnymi katolikami jak bez mała cała ludność tego kontynentu, choć katolicyzm to po wierzechny, jakbyśmy powiedzieli „odpułstowy”. Katolicyzm większości ludzi Ameryki Łacińskiej polega na przyjęciu sakramentu chrztu, sakramentu małżeństwa i na udziale w do rocznej fleście (uroczystość religijna). Katolicyzm przeszedł tu wielki

kryzys, trwający przeszło wiek! Jest ciekawym objawem, że gdy bunt Kolumbii Ameryki Północnej przeciw Anglii dał początek powolnemu lecz bezpiecznemu postępowi katolicyzmu na północy amerykańskiego kontynentu, to rewolucje w Ameryce Południowej przeciw Hiszpanii na początku zeszłego wieku dały początek kryzysowi Kościoła w krajach o językach łacińskich. Polityka hiszpańsko-portugalska, która opierając się na prawie patronatu mianowała biskupów i kierowała nawet szczegółami spraw religijnych, zaszkodziła sprawie Kościoła. Wielu księży i zakonników musiało opuścić kraj, pod zarzutem popierania Hiszpanii przeciw aspiracjom narodowym. Ameryka łacińska odczuwa obecnie poważny brak duchownych — dość powiedzieć, że ilość księży na tym kontynencie, skupiającym 33 procent katolików całego świata, wynosi tylko 7 proc. do chowieństwa. Kolumbia ma stosunkowo najlepszą obsadę duchownych, ale i tak dysproporcja między liczbą księży i ludności jest bardzo wyraźna. Na niecałe 3 miliony katolików w Anglii i Walii przypada około 7 tysięcy księży, a tymczasem na prawie 11 milionów katolików w Kolumbii przypada tylko 3 tysiące księży, z których część poświęca się także pracy pedagogicznej. Jednakże, mimo, że katolicyzm kolumbijski jest powierzchowny, katolicki charakter tego kraju widzieć już przy pierwszym zetknięciu się z Bogotą.

POZORNY SPOKÓJ

DRUGIE rzucające się w oczy zjawisko w Bogocie — to księgarnie: do nich cisną się również tłumy ludzi. Nie Darro Aleksander Humboldt nazwał to piękne miasto „Atenami Ameryki Południowej”.

Kto przybywa do stolicy kraju — ten odnosi wrażenie, że odwiedza jedno z miast tego kontynentu, zajęte codziennymi sprawami życia, handlu i polityki. Jedyną rzeczą, która przybyszowi działa tu na nerwy, to deszcz, to ciągły deszcz, gdyż Bogota jest najwyższą położoną stolicą Ameryki Łacińskiej i zarazem najobfitszym w opady miejscem świata.

Wszystko wygląda w Bogocie spokojnie, ale tylko na pozór. Niedługo czeka przybysz, by usłyszeć wymianę strzałów na którejś z ulic stolicy i krzyki rozpaczliwych niewiast o powód, odpowiedzą niechętnie: „konserwatyści zabili nam męża, ojca, brata... Dlaczego? Bo byli liberałami”. Za kilka dni, a może nawet za kilka godzin znów o zmiru rozlegną się salwy i padną zabici. Tym razem liberałowie, a mówiąc ściślej partyzanci, wśród których znajdują się często członkowie stronnictwa liberałów, wymierzają sprawiedliwość na konserwatywnych mordercach rekrutujących się z aparatu politycznego i policyjnego rządzącej dyktatury. I tak toczy się ta niekończąca się wojna liberałów z konserwatystami... na ulicach Bogoty.

Wszakże ta wymiana pojedynczych strzałów w stolicy jest tylko słabym echem tego, co na wielką skalę dzieje się w całym kraju, echem wojny domowej, toczącej w tropikalnych lasach w górach, w różnych częściach kraju. Tam w wielu prowincjach walka przybrała charakter wojny partyzanckiej, charakter wojny domowej, w której po stronie powstańców biera udział tysiące biedoty wiejskiej i robotników, najbardziej upośledzonych i wszystkich wprawnych przez plantatorów i właścicieli koncernów. Ogólnie powstania ogarnia wiele prowincji. Minister spraw wojskowych Kolumbii przysłał w ub. roku, że „kraj przeżywa prawdziwą rewolucję”. Wojna partyzancka przeciw pro-amerykańskiej dyktaturze rozgorzała w departamentach Tolima, Antioquia, Cundinamarca, Eoyaca, Santander

del Norte, Santander del Sul, Huila, Cauca, Caldas Magdalena w rejonie prerii wschodnich. Szwajcarskie pismo „Weltwoche” porównuje zmagania w Kolumbii do wojny domowej w Hiszpanii, choć — zaznacza słusznie, — kolumbijska wojna domowa nie ma takich rozmiarów jak walki w Hiszpanii ani tak wyraźnego frontu politycznego. Oddziały policyjne i wojskowe rządu stosują w walkach taktykę „spalonej ziemi”, w rezultacie czego tysiące chłopów zostaje bez dachu nad głową.

Według opublikowanych w prasie danych w ciągu ostatnich trzech lat zabito w Kolumbii około 30 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Amerykański „Time” przyznaje, że w Ameryce Łacińskiej Kolumbia stała się krajem, w którym najwięcej przelewa się krwi”. Dyktator Gomez korzysta z dostaw amerykańskiego uzbrojenia dla swoich oddziałów zwalczających partyzantkę. Gdy wybuchł strajk powszechny w 1947 roku, przeciw strajkującym wysłał rząd wojsko i policję uzbrojone w czołgi i karabiny amerykańskie, a użyte wtedy gazy łzawiące były dostarczone naprędce ze strefy Kanału Panamskiego na amerykańskich samolotach.

LIBERAŁOWIE — KONSERWATYŚCI

ABY zrozumieć genezę wojny domowej w Kolumbii, należy sięgnąć do historii. Ta republika łacińska, od momentu uwolnienia przez Boliwara spod przemoicy hiszpańskiej, rządzona była przez system dwupartyjny, konserwatystów i liberałów na przemian. Konserwatyści stanowili zwarty klasowo obóz, stronnictwo to rekrutowało się z wielkich właścicieli ziemskich, władających najniższymi obszarami wzdłuż rzeki Magdaleny, oraz finansjery powiązanej z amerykańskimi koncernami i dygnitarzy dyktatury Gome-

oligarchiczna stronnictwo trwałoby zapewne do dzisiaj, gdyby nie nowa siła polityczna, jaka pojawiła się na widowni w latach czterdziestych. Ta nowa siła, to rzesze uciskanego ludu, tzw. „pueblo”, przeważnie robotnicy rolni i robotnicy przemysłu naftowego, potomkowie Indian. Nie ma w Kolumbii czystej krwi Indian, a nie liczni Indianie w tym kraju o wybitnym przemieszaniu rasowym, żyją w stanie dzikim w górzystych terenach tropikalnych. Pueblo — to miliony mieszkańców półkuli Indian, którzy żyją w stanie takiej samej zależności feudalnej i nędzy, jak ich bracia meksykańscy i peruwiańscy, czystejsi krwi Indianie.

Ostatnie 5 lat po wojnie przyniosło poważne rozbudzenie świadomości klasowej tej warstwy ludu kolumbijskiego i podniosło do dużego znaczenia polityczną aktywność mas pracujących. W tej mierze duże zasługi położyli postępowi działacze związków zawodowych i lewicowi liberałowie oraz działacze ruchu pokoju. Pod ich kierownictwem Indianie weszli na drogę aktywizacji politycznej, na drogę walki strajkowej o chleb i wolność. Ta nowa siła w układzie społecznym Kolumbii dała znać o sobie bardzo dobitnie w kwietniu 1948 roku. Wtedy rozegrały się w Bogocie wydarzenia, które zwróciły na nią uwagę całego świata.

REWOLUCJA W BOGOCIE

COFNIJMY się pamięcią o 5 lat. 9 kwietnia 1948 r. przybywają do Bogoty samolotami Panamerican Airways delegacje 20 republik na IX konferencję panamerykańską. Stany Zjednoczone reprezentuje min. Acheson z licznym sztabem doradców dla zagadnień zachodniej półkuli. Konferencja obraduje głównie nad projektem woj-



W krajach Ameryki Łacińskiej ziemia uprawiana bez narzędzi i kultury rolniczej rodzi skąpo

za. W łonie liberałów ścierają się coraz mocniej — w miarę upływu lat — dwa kierunki, zachowawczy, zbliżony programem społecznym do konserwatystów i radykalny, wysuwający hasła umiarkowanych reform społecznych. W każdym razie hasła niezależności narodowej, i unarodowienia bogactw, będących obecnie w posiadaniu amerykańskich koncernów są bardzo żywe wśród dołów stronnictwa liberałów.

Te dwa stronnictwa różni także i to, że konserwatyści opowiadają się za jednością Kościoła i Państwa, a liberałowie wyznają zasadę rozdziału między Kościołem i Państwem. Idylla

skowego paktu bezpieczeństwa krajów amerykańskich i wytycznych waszyngtońskich w sprawie walki z komunizmem na Południu. W atmosferę przetargów i zakulisowych rozgrywek, na gruncie licznych sprzeczności między Stanami Zjednoczonymi a interesami poszczególnych krajów łacińskich — uderza niespodziewane wydarzenie. 8 kwietnia ginie zabity skrytobójczo jeden z przywódców lewicowego odłamu partii liberalnej Gaitan, dobry organizator i popularny w masach Indian, a w szczególności wśród robotników rolnych, trybun ludowy.

(Dokończenie na str. 11)

Anna ROWICKA

Jeszcze o książce Lichniaka

PRACA Zygmunta Lichniaka o twórczości poetyckiej Jerzego Lieberta*), ukazuje się w niecałe dwa lata po „Poezjach zebranych”, stanowiąc niejako ich „teoretyczne uzupełnienie” i świadczą o niegasnącym zainteresowaniu liryką katolickiego poety.

I

Książka Lichniaka nie jest jakąś wyczerpującą monografią, która by zawierała wszechstronną analizę wierszy Lieberta. Materiał analityczno-literacki reprezentowany jest w rozprawce dość ubogo. Istotną częścią tej książki jest próba naukowego wyjaśnienia kilku postawionych przez autora kwestii, próba znalezienia uzasadnionych odpowiedzi na pytania: jaka jest przyczyna trwałości poezji Lieberta, który nie podzielił losu wielkiej rzeszy młodych poetów 20-lecia i nie stał się jedynie martwą pozycją w historii literatury; na czym polega istota katolicyzmu pojawiającego się w twórczości poety; jaka jest przyczyna samnego zaistnienia owego katolicyzmu w lirykach Lieberta; jak sobie wystrząsnął z katolicyzmu społecznego wierszy Lieberta. Oto zasadnicze problemy, których rozwiązaniem zajmuje się rozprawka.

Jest rzeczą zrozumiałą, że przy czytaniu książki nie poprzestając na opisie, lecz zmierzając do wyjaśnienia, pierwszą kwestią a w każdym razie najważniejszą, jaka się nasuwa — jest sprawa zastosowanej przez autora metody badawczej.

Wyjaśnienia postawionych wyżej zagadnień dokonuje Lichniak poprzez odwołanie się do głównej zasady pragmatycznej twórczości Lieberta. Kluczem tym jest zdaniem autora „zasada konsekwencji pełnego życia w poezji, zasada konsekwentnego traktowania sztuki poetyckiej jako czynnika bilansującego wszystkie niepokoje i radości, wynikające z każdego fałszywego czy prawidłowego doświadczenia, z każdej wcześniej napisanej niż przemyślonej myśli, wcześniej upoety zwanego niż przeżytego procesu” (str. 41).

„Ta zasada konsekwencji — wyjaśnia dalej Lichniak — stanowi podług dążenia do monolitycznej, bezpośredniej łączności sztuki poetyckiej z jej twórcą...” (str. 41)

Teza powyższa — główna teza rozprawy Lichniaka — determinuje z góry metodę badawczą. Autor zakłada do tożsamość osobowości Lieberta-człowieka z osobowością Lieberta-poety. Przeprowadza tu następujące (dedukując z rozprawki i ujmując w schematycznym skrócie) rozumowanie: istnieje paralelizm między szeregiem faktów dotyczących życia i osobowości Lieberta, a szeregiem tekstów literackich. Jest to paralelizm tego rodzaju, że każdy bardziej ważki tekst życiowy znajduje swój dokładny i „wprost proporcjonalny” odpowiednik w twórczości literackiej. Wobec tego można, a nawet należy wyjaśniać literacką twórczość Lieberta przy pomocy tamtych, życiowych faktów, stwierdzając jednocześnie, że każdy fakt literacki układa się w stosunku do danego faktu życiowego na zasadzie konsekwencji, t. j. owej „prostej proporcjonalności”. Oto przykłady stosowania przez Lichniaka powyższej omówionej metody: młodzieńcza twórczość Lieberta pozbawiona jest większej wartości ideowej, a zarazem i artystycznej (Lichniak stoi na stanowisku jedności treści i formy). Wyjaśnienie: życie Lieberta również do pewnego okresu pozbawione było tych wartości. W podobny sposób — bogactwem duchowym poety, w którym ugruntowała

się już głęboko religijna postawa, tłumaczy Lichniak religijność i głębię poezji Lieberta pochodzącej z okresu „po nawróceniu”. Absentyzm społeczny wierszy Lieberta tłumaczy się takim samym stanowiskiem jego życia.

Cóż można by powiedzieć o tego rodzaju metodzie? Traktowanie metody psychologicznej czy biograficznej jako zasady powszechnie obowiązującej przy każdym badanym zjawisku literackim w odniesieniu do każdego pisarza, byłoby wielce niebezpieczne, nieuzasadnione historycznie a także logicznie. Lichniak nie twierdzi jednak w swej książce, że łączy takiej metodzie zawsze i wszędzie. Stosuje ją konkretnie do badania twórczości Lieberta, u którego stwierdza całkowitą zgodność między faktami literackimi i faktami biograficzno-psychologicznymi, badanymi niezależnie od tych pierwszych. Istotnie — dla każdego, kto zapisał się z twórczością poety, a z drugiej strony zna materiał biograficzny — zbieżność ta nie ulega wątpliwości, a przesadnym chyba pu ryzmem metodologicznym byłoby sądzić, że ów stały charakterystyczny paralelizm może być całkowicie przy padkowym i że wobec tego należy poprzestać na stwierdzeniu samego paralelizmu.

Czy jednak, mimo wszystko, autor pracy o Liebercie nie przypisuje zbyt dużej, a niekiedy i wyłącznej roli „zasadzie konsekwencji”? Czy nie naraża się na niebezpieczeństwo czyniąc z owej konsekwencji „zasadę”, zatem jakieś stałe, obowiązujące w stosunku do twórczości Lieberta prawo? Trzeba tu przy tym podkreślić, że nie chodzi tu o prawo odnoszące się immanentnie do dzieła literackiego, badanego w oderwaniu od rzeczywistości pozaliterackiej (choć i w tym znaczeniu używa często Lichniak termin „konsekwencja”). Chodzi tu o prawo psychologiczne, działające przede wszystkim na gruncie osobowości Lieberta, stanowiące jej stały atrybut. (O tym, że tak właśnie rozumie autor to prawo, świadczy już wyraźnie wyjaśnienie „zasady konsekwencji” także faktem na nawrócenia się Lieberta na katolicyzm).

Trudno tu powstrzymać się przed wytoczeniem przeciw metodzie badawczej Lichniaka znanych argumentów wykazujących niebezpieczeństwo psychologizmu i biografizmu. A zatem: czy możliwe jest poznanie wszystkich faktów biograficznych a tym bardziej psychologicznych? Czy można reczyć, że wśród tych nieznanych nie kryją się takie, które obalibyby „zasadę konsekwencji”? Wreszcie, czy listy Lieberta, stanowiące dla Lichniaka jedno z głównych źródeł wiadomości biograficzno-psychologicznych nie stanowią (jak to często bywa) materiału na polu już literackiego?

Lichniak zastrzega się w swej rozprawce, że nie traktuje „zasady konsekwencji” jako jedynej determinanty wyjaśniającej twórczość poetycką Lieberta i że również przyjmuje takie czynniki wyjaśniające jak „układ warunków zewnętrznych” (str. 40). Wydało się jednak, że autor mimo tego zastrzeżenia zbyt fragmentarycznie, zbyt ubogo potraktował owe warunki zewnętrzne; zbyt mało powiedział nam o epoce 20-lecia międzywojennego, kręgu kulturowym, w którym wzrastał i żył Liebert, o grupie Skamandrytów, z którymi poeta utrzymywał żywy kontakt, zbyt mało wreszcie — o katolickiej grupie intelektualistów, przyszłych współpracowników „Verbum”, w których gronie kształtował się światopogląd religijny poety.

Jeżeli zważymy, że książka Lichniaka nie jest zapewne przeznaczona wyłącznie dla specjalistów, ale

i dla przeciętnego czytelnika, to możemy stwierdzić, że takie omówienie „ta” nie byłoby powtarzaniem znanych już, po wielokroć stwierdzonych sądów, a przecież — mogłoby niejedno wyjaśnić w sposób na pewno bezpieczniejszy, niż uciekanie się do psychologicznego prawa konsekwencji.

II.

PRZEJDŹMY jednak do tej „warstwy” książki, która w oparciu o wiadomą tezę ukazuje nam dzieło literackie. Zajmijmy się rozdziałami mówiącymi o młodzieńczej twórczości Lieberta, zatem o „juweniliach” i wydanej w 1925 r. „Drugiej Ojczyźnie”. Lichniak przeprowadzając szereg literackich analiz dochodzi do słusznego wniosku, że młodzieńczy dorobek Lieberta nie przedstawia dużej wartości tak pod względem artystycznym jak i ideowym (jak już wspominaliśmy, autor książki stoi na jak najbardziej słuszym stanowisku jedności treści i formy), że są to wiersze bądź to naiwne przez swą nieudolność, bądź też sztuczne i pretensjonalne, że brak jakiegokolwiek konsekwencji zarówno między poszczególnymi elementami utworu, jak i w zespole wierszy, że wreszcie brak im skryzalizowanej, jasnej i silnej idei. Trzeba jednak stwierdzić, że ogólna ocena tej poezji, w zasadzie słuszną, wypadła jednak zbyt „rycaltowo”. Pewną niesprawiedliwością wobec bardzo młodego, początkującego poety byłoby niedostrzeżenie wśród jego pierwocin takich wierszy, jak „Dzieńciak” (z roku 1922), „Srebrny pajak”, „Pożar lasu” czy „Moja wiara”. (Ten ostatni wiersz ocenia autor dość pozytywnie, uważa go jednak za „wyjątkowo czysty” (str. 81). A przecież wszystkie te wiersze nie są złe. Cóż np. można zarzucić rozszerzonej metaforze wiersza „Srebrny pajak”, jeśli idzie o sugestywność i konsekwencję? Czy zaliczymy do zdecydowanie złych wierszy „Pożar lasu”, w którym plastyczna obecność idzie w parze z niemalym dynamizmem? Oczywiście, że i w każdym z tych wierszy natrafimy tu i ówdzie na rzecz rażąca, ale i odwrotnie — w niejednym wierszu o górnym słabym wykwiła raz po raz jakaś całkiem niezła metafora porównania. Na takie miłe niepodziękujmy np. w wierszu „Zamyślenie”, „Zmęczenie” czy „Wiosna”. Znacznie już mniej takich „niezłych miejsc” czy całych wierszy można wskazać w debiucie „Druga Ojczyzna”, który jest zbiorem istotnie bardzo pretensjonalnych, sztucznych, nieuzasadnionych metafor i porównań obfitujących w różnego rodzaju słowki, perły, nieba czy gwiazdy. I szczerze robi Lichniak, że przy pomocy wnikliwych, w dowolnej często formie podanych analiz demaskuje ową sztuczność, całkowitą przypadkowość i brak sugestywności.

III.

NA tle surowej oceny wierszy młodzieńczych Lieberta tym wyraźniej występuje w rozprawce Lichniaka jego nader pozytywny stosunek do twórczości poety z okresu po „nawróceniu”, t. j. do liryków z wartych w „Guslach” (1930) i „Kolysance jodłowej” (1932). Ta właśnie część twórczości Lieberta zdecydowała, zdaniem autora rozprawki, o wielkości i nieśmiertelności poety. Jest to sąd ze wszech miar słuszny: „Gusła” i „Kolysance” to poezje głęboko religijne, katolickie, całkowicie już wolne od nieokreśloności ideologicznej i „anemiczności” artystycznej. W „Guslach” — słusznie mówi Lichniak — „kochał artystyczny, jak twórca tej całości nadał, mimo różno

rodności form relacji lirycznej, mimo różnorodności miar metrycznych i bogactw figur poetyckich jest jedno i zwarty, zarówno jeśli analizuje się wewnętrzną logikę i konsekwencję poszczególnych elementów, jak i ich związków” (str. 102). Odrębność, je dyność poezji Lieberta na tle liryki 20-to lecia upatruje Lichniak w „większej ortodoksji w rozumieniu prawd chrześcijańskich i głębszej wobec nich postawie intelektualnej” (str. 106). „Liebert — stwierdza Lichniak w dalszym ciągu — jest nie tylko poetą religijnym wzruszeń, lecz także poetą religijnej myśli, niemal poetą filozofii religii” (str. 106). Liryka Lieberta — to „poezja walki o integralną łączność twórcy z dziełem, wyrażającym najistotniejszą treść zdobywania człowieka przez Boga” (str. 110).

Mimo tak trafnych, nie budzących chyba żadnych sprzeciwów twierdzeń, niektóre zdania Lichniaka mówiące o religijności wierszy Lieberta, o jego stosunku do Boga robią wrażenie pewnego rodzaju uproszczeń, zubożających tę jedyną w swoim rodzaju, ciekawą i głęboką myśl. Tak np. po wiada Lichniak, że stosunek poety do Boga „zasadza się na całkowitej uległości, na całkowitym podporządkowaniu się tej sile” (t. j. Bogu) (str. 97). Jako ilustrację tego sądu przytacza Lichniak wiersz „Jeździec”. Czyż jednak już w tym wierszu nie wyczuwa się obok, a może nawet za miast owej „całkowitej uległości, raczej poddanie się „tratującemu” i ściągającemu ofiarę „Jeźdźcowi” i „Łowcy”, poddanie nie pozbawione pewnego rodzaju tragizmu. Podobny motyw zdobywania opornego mimo wszystko człowieka występuje i w innych wierszach, np. w „Dzwonach”, które jak mówi poeta — „ranią Bogiem i miażdżą”, w „Aniele Pokoju”, a nade wszystko w „Dawnych słowach”, które są niejako przypomnieniem minionego, pożegnanego już życia i dawnej twórczości, ale i zarazem są pewnego rodzaju odruchem „uczuciowego” buntu:

Włókna napięte wrastają w ciało,
Pod siecią leżę, przybity siecią —
Aleś mnie do dna Sobą nie przeciął:
Pod siecią słowo ze mną zostało!

Dynamiczny charakter przeżycia religijnego Lieberta nie polega wyłącznie na zdawaniu sobie sprawy z „konieczności ciągłej walki o utrzymanie wewnętrznego stanu łaski” (str. 97), ale zawiera on w sobie — jak już powiedzieliśmy — pewien element buntu. Ów „bunt”, to postawa człowieka, który życiem swoim wszedł już w nową Bożą rzeczywistość, a jednocześnie nie zrezygnował jeszcze uczuciowo ze wszystkiego, czym żył dawniej, co było nie tylko złe czy sprzeczne z tamtą, wyższą rzeczywistością, ile może zbyt małe, zbyt niedoskonałe z swej istoty, a przecież silnie pociągające całą ludzką stronę natury.

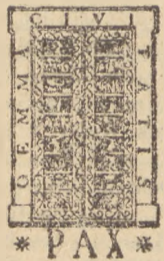
Nie wydaje się trafnym w pełni zdanie Lichniaka, że w wierszach Lieberta „panuje pełna i radosna wiara w zgodność obydwu światów” (str. 120), również nie wydaje się słuszny sąd, że nie ma w poezji Lieberta „nic z ascezy” (str. 120). Zresztą różnica stanowisk może tu być wynikiem nieporozumień terminologicznych dotyczących słowa „asceza”. Wierszowi „Colas Breugnon”, który może stanowić poparcie powyższej opinii autora, można przeciwstawić i inne wiersze; wiersze, w których Liebert daje wyraz głębokiemu rozumieniu antynominalnego mimo wszystko stosunku między naturą, a nadnaturą. Antynomia ta polega — powiedzmy raz jeszcze — na pewnego rodzaju konflikcie ze światem, którego ograniczoność i niedoskonałość poeta dostrzega patrząc z „Bożych perspektyw”, a jednocześnie zdaje

sobie sprawę z nader silnych więzów uczuciowych, łączących go z tym światem. Tęgo rodzaju postawa zarysowuje się już w młodzieńczych wierszach Lieberta, jak: „Niebo i ziemia”, „Morze i wino” — czy „Miłość doskonała”, choć ze względu na niedoskonały wyraz artystyczny nie robi tam wrażenia przekonującego; ta sama postawa występuje silnie i przekonująco już w takich wierszach, jak „Zaślubiny” czy „Dawne słowa”.

Podobnie — można by dyskutować, czy istotnie we wszystkich wierszach „Kolysanki jodłowej” „wyraża się głębokie zrozumienie przemijalności ziemskiego życia” i „spokój akceptacji prawa zawartego w tej przemijalności” (str. 111). Chyba nie świadczy o takim „spokoju” „Rapsod żałobny”, ani „Kantyczka moribundów”, czy wreszcie „Pieśń o zagładzie”. A są to wiersze dość reprezentatywne dla „Kolysanki jodłowej”. Niewątpliwie można dostrzec u Lieberta dążność do przerywania owego ludzkiego zresztą całkiem poczucia głębokiego tragizmu, tragizmu przedwczesnej śmierci i choroby, ale nie jest to jeszcze „spokój”, ani tym bardziej akceptacja przemijalności życia. Być może — że owe budzące zastrzeżenia opinie Lichniaka wyglądałyby bardziej przekonująco, gdyby zostały poparte jakimś przeanalizowanymi tekstami w większym stopniu, niż to zostało zrobione. Tęgo jednak Lichniak nie zrobił, poprzestając na dość lapidarnych syntetycznych wnioskach. I w związku z tym jeszcze jeden, tym razem już ostatni zarzut: dlaczego tak mało miejsca poświęcił Lichniak na omówienie „Gusła” i „Kolysanki”? (24 strony na 120 stron rozprawki). Dlaczego tak fragmentarycznie omówił tematykę i problematykę tomików, o których sam stwierdza, że stanowią główne źródło wielkości Lieberta?

IV

PIERWSZA książka o twórczości Jerzego Lieberta dostarcza więc niemało okazji do dyskusji, podobnie jak okazją do dyskusji było wydanie w r. 1951 „Poezji zebranych”. Świadczy to o jednym: osobowość poetycka Lieberta jest wiecznie żywa, bogata i głęboka, budząca wciąż zainteresowanie, trudna do zamknięcia w jakichś „jedynych”, absolutnie już nie naruszalnych ramach. Ukazanie się opracowania poezji Lieberta powitać trzeba jako fakt niewątpliwie pozytywny. Pozytywny dlatego, że jest ono pierwszą próbą naukowego wyjaśnienia tak interesującego zjawiska literackiego, jakim był Liebert. Pozytywny dlatego również, że ukazuje źródło twórczej ewolucji Lieberta, źródło, z którego tryska siła ideologiczna i wielkość artystyczna poety. Nie ulega wątpliwości, że książka taka obok roli naukowo-poznawczej spełnia nader pozytywną rolę pod względem wychowawczym.



Jerzy Krzysztoń
OPOWIADANIA INDIJSKIE
Cena zł 22.—

Maciej J. Kononowicz
W RAMIONACH
SREBRNYCH RZEK
Cena zł 15.—

Georges Bernanos
RADOSĆ
Cena zł 20.—

Wysłać Biuro Sprzedaży „PAX”,
Mokotowska 43, Warszawa, za za-
liczeniem lub po wlocenie na kon-
to PKO Nr 1-8515 z dołączeniem
zł 3 na koszt przesyłki.

* Zygmunta Lichniak: Poeta konsekwencji. Rzecz o twórczości Lieberta. Warszawa, Pax 1952. Stron 122.

Michał NOWACKI /

DZIENNIK SZEMBEKA

Do badań nad polską polityką zagraniczną w okresie rządów sanacyjnych przybyło bardzo ważne źródło. Jest to wydany w Paryżu „Dziennik” Jana Szembeka, który ukazał się tam w tłumaczeniu francuskim z przedmową Leona Noela, b. ambasadora Francji w Warszawie*).

Dla należytego ocenienia charakteru tego źródła trzeba sobie przypomnieć, kim był i jaką rolę odegrał autor tego „Dziennika”.

Szembek pochodził z rodziny wodzącej się z patrycjatu krakowskiego, która dzięki zajmowaniu przez paru jej przedstawicieli najwyższych stanowisk kościelnych w wieku XVIII (trzech prymasów i kilku biskupów) doszła za czasów Rzeczypospolitej Szlacheckiej do bogactw i wpływów, co zostało przypieczętowane nadaniem jej przez rząd austriacki tytułu hrabiowskiego. Spokrewniony przez matkę z wpływową w Galicji rodziną Dzieduszyckich, Jan Szembek wstąpił przed I wojną światową do dyplomacji austro-węgierskiej.

Przyjęty do nowotworzącej się polskiej służby zagranicznej, Szembek plastował kolejno stanowisko posta w Budapeszcie, w Brukseli i Bukareszcie. Powierając w 1932 r. stanowisko ministra Spraw Zagranicznych Józefowi Beckowi, Piłsudski uznał za celowe przydzielić mu do pomocy starszego, rutynowanego urzędnika, który by uzupełniał jego braki w dziedzinie znajomości techniki pracy dyplomatycznej, a swą rolgą i ostrożnością hamował w pewnym stopniu zapalczywość, a nawet brutalność swego szefa. W ten sposób Szembek został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i pisał to stanowisko, aż do kłęski wrześniowej.

Zewnętrznie biorąc ci dwaj ludzie, Beck i Szembek, różnili się między sobą radykalnie. Beck, błyskotliwie inteligentny, niezmiernie ambitny, a nie mniej zarozumiały i pewny siebie, dążył zdecydowanie do objęcia pełni władzy w Polsce, uważając się po śmierci Piłsudskiego za jedynie autentycznego wyraziciela jego my-

śli politycznej. Drogę ku temu wdział poprzez realizację efekciarskich sukcesów w kierowanej przez siebie polityce zagranicznej i nie zapominał nigdy we wszystkich swych posunięciach w tej dziedzinie o walce konkurencyjnej o władzę, która toczyła się zakulisowo w obozie piłsudczywskim. Brak mu było jednak należytego przygotowania, wykształcenia i głębszej znajomości stosunków międzynarodowych.

Typowy dyletant, lekceważył konieczność poważnego studiowania problemów światowych i systematycznej pracy, wnosząc do działalności dyplomatycznej typowe metody „dwójkarskie”, którymi przesiąknął podczas swjej poprzedniej aktywności.

Szembek był gruntownie wykształcony, znał ze studiów historycznych i własnej pracy powierzchwnie życia politycznego świata, przepojony był tradycjami starej dyplomacji habsburskiej. Nie miał jednak żadnych zaadatków na męża stanu i obce mu były wszelkie szersze koncepcje polityczne. Był typem pilnego i sumiennego urzędnika, dbającego o swój spokój i wygodę. Skończony sbyaryta i oportunistą, stanowił klasyczny okaz egoistycznego arystokraty traktującego formy zewnętrzne jako treść istotną.

Przy tym wszystkim łączyła go z Beckiem wspólna pogarda dla demokracji, zaślepiona nienawiść do ZSRR i głęboko zakorzeniony szacunek dla Niemiec. Nic więc dziwnego, że zeszli się na platformie politycznej zawierającej koncepcję, iż jedyną drogą dla Polski sanacyjnej jest zwalczanie Związku Radzieckiego i oparcie się o hitlerowską III Rzeszę. Szembek był jednak zwolennikiem bardziej ostrożnych metod realizowania tej polityki, w szczególności równoległego zachowywania dotychczasowych dobrych stosunków z Francją.

Przy różnicach charakteru tych dwóch kierowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych w okresie przedwojennym, współpraca między nimi układała się w sposób dość specyficzny. Beck w sposób apodyktyczny dyktował poszczególne posunięcia w dziedzinie polityki zagranicznej swym najbliższym współpracownikom, nie informując o nich nawet

często swego zastępcy i nie wyjaśniając mu prawdziwych swych celów i zamiarów. Najwyżej podawał, w jaki sposób Szembek ma je komentować w rozmowach z przedstawicielami zagranicznymi w Warszawie, gdyż całkowicie na niego przerzucił niewdzięczną rolę utrzymywania stałych kontaktów z dyplomataami obcymi. Sam przyjmował ich tylko w wypadkach najważniejszych.

Szembek nadawał się bardzo dobrze do tego zadania. Umiał w sposób gładki i układny powiedzieć rzeczy najbardziej przykre, jak również zrećnie przykrywać rzeczywistą treść polityki Becka za pomocą frazeologii zaczerpniętej z artykułów propagandowych prasy rządowej. Jako skrupulatny urzędnik notował on każdą taką rozmowę w specjalnie prowadzonych kajetach, aby na tej podstawie referować je Beckowi, a ewentualnie sporządzać urzędowe notatki sprawozdawcze. W analogiczny sposób notował wszystkie rozmowy z przedstawicielami polskimi za granicą i z wyższymi urzędnikami Ministerstwa prowadzoną dla zorientowania się w sytuacji bieżącej.

Te zeszyty Szembek zabrał z sobą wyjeżdżając z kraju w 1939 r. Usunięty przez Sikorskiego z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zamieszkał w Portugalii, gdzie porządkował te notatki, nosząc się z myślą napisania pamiętników. Nie dokonawszy tego umarł w 1945 r. Żona jego chciała wykorzystać te papiery dla celów dochodowych, toteż dokonała wyboru notatek, które uznała za nadające się do druku. Dalszą selekcję przeprowadzili emigranci, do których zwróciła się o pomoc w wydaniu. Ostatecznej redakcji, wraz z nowymi kolejnymi skreśleniami, dokonał ambasador Noel, który przygotował wydanie francuskie.

Po tylu cenzurach i eliminacjach notatki Szembeka — określenie „Dziennik” jest na tle powyższych uwag nie zupełnie ściśle — straciły znacznie na wartości jako źródło do historii polskiej polityki zagranicznej przed II wojną światową, a to tym bardziej, że jak już zaznaczyliśmy, znajdowały w nich wyraz nie tyle faktyczne cele i zamiary dyplomacji, ile sposób, w jaki były one przedstawiane na użytek zewnętrzny i wewnętrzny. Pomimo tego, nawet w tej formie, w jakiej zostały one ogłoszone, rzucają dużo ciekawego światła zarówno na politykę polską, jak i na całość ówczesnej sytuacji międzynarodowej widzianej oczyma dyptomatów polskich i zagranicznych.

Pod tym kątem widzenia ogłoszone notatki Szembeka przedstawiają znacznie nawet większą wartość niż znany „Dziennik” Ciano, gdyż zawierają bogatszy i szerszy materiał informacyjny. Ogólnie biorąc nie stanowią one źródła, na podstawie którego można pisać historię lat powojennych, ale dla badaczy tych zagadnień dostarczają cennego materiału pomocniczego, pozwalając lepiej zorientować się w ówczesnej grze rządów obozu burżuazyjnego.

W EŻMY charakterystyczny przykład. Książka zaczyna się od notatki reasumującej konferencję zwołaną w kwietniu 1934 r. przez Piłsudskiego dla powzięcia zasadniczej decyzji co do kierunku polskiej polityki zagranicznej. W obliczu poważnych sukcesów Związku Radzieckiego w realizacji I Pięcioletki, co wzmogło ogromnie potencjał Kraju Rad i wobec dojścia do władzy w Niemczech hitlerowców głoszących hasła rewizjonizmu oraz ekspansji imperialistycznej; na tle świeżo zawartych przez Polskę paktów z ZSRR i z Niemcami, jak również sugerowanego przez ministra Spraw Zagranicznych Francji Barthou zawarcia Paktu Wschodniego, Piłsudski za-

dał od swych najbliższych współpracowników wojskowych i dyplomatycznych sformułowania na piśmie ich opinii co do polityki, którą powinno się w przyszłości prowadzić w stosunku do obu naszych wielkich sąsiadów. Z ogłoszonej w książce Szembeka wzmianki wynika, że brał on również udział w konferencji, która przedyskutowała te odpowiedzi, lecz najwidoczniej wydawcy woleli tej notatki nie ogłaszać. Jednakże z dalszych tekstów i z konfrontacji ich ze znanymi faktami wynika zupełnie jasno, iż decyzja była wyraźna: podstawowym „wrogiem” pozostaje nadal Związek Radziecki, a więc trzeba się przeciwko niemu łączyć z faszyzmem niemieckim, który stanowi najbardziej dynamiczną i agresywną siłę antykomunistyczną i antyradziecką.

Kierownicze czynniki sanacyjne zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństwa zaborczych zakusów junkiersko-kapitalistycznych Niemiec w stosunku do Polski, z czym spotykali się stale nawet w okresie największej „przyjaźni” polsko-niemieckiej chociaż by na odcinku gdańskim, ale egoizm klasowy pchał ich na drogę podporządkowania interesów narodowych programowi współpracy z faszyzmem niemieckim w akcji antyradzieckiej. Nie chcąc jednak patrzeć prawdzie w oczy oszukiwali samych siebie naiwnymi teoriami, że Hitler i Goering nie solidaryzują się z „pruską polityką antypolską”, lecz zadowolnią się włączeniem Polski do sfery swych wpływów politycznych, dopuszczając naszych obszarników i kapitalistów, w zamian za pomoc w agresji antyradzieckiej, do wspólnego organizowania kolonialnej eksploatacji podbitej Rosji.

„Dziennik” Szembeka dostarcza nie wątpliwych dowodów, że poza propagandową frazeologią o „utrzymaniu równowagi między dwoma wrogami w postaci równoległego bilateralnego regulowania stosunków dobrosąsiedkiego współżycia” kryła się w rzeczywistości świadoma wola sabotowania wszelkich wysiłków Związku Radzieckiego, zmierzających do ratowania pokoju za pomocą powstrzymanie agresywnych planów faszystów przez ustanowienie bezpieczeństwa kolektywnego i powszechne rozbrojenie oraz kryło się niemniej konsekwentne okazywanie pomocy zaborczyści hitlerowskiej w Europie południowo-wschodniej i północno-wschodniej. Kryterium podstawowym dyktującym dyplomacji sanacyjnej wszystkie jej akcje było przyczynianie się do maksymalnej izolacji Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej (zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie) i ofiarowywanie swych dobrych usług przy tworzeniu się bloków imperialistycznych, jako wyjściowej podstawy do wojny agresywnej przeciwko ZSRR.

Troską dyplomacji sanacyjnej w tym współdziałaniu z antyradzieckimi planami była obawa, aby agresywny blok antykomunistyczny nie powstał bez udziału Polski, pozostawiając w ten sposób polskie sfery posiadające poza udziałem w realizowaniu korzyści ze spodziewanego łupu. Stąd płynęło niezadowolnienie piłsudczyków z Locarna, Paktu Czterech i Monachium oraz przypomnienie o sobie w formie sztucznego reklamowania „mocarstwowości”, mającego podkreślić możliwości wkładu polskiego w akcję antyradziecką. Pozory tej „mocarstwowości” oparte były na konunkturalnej sytuacji ówczesnych rozgrywek konkurencyjnych w obozie europejskich mocarstw imperialistycznych, w szczególności między Niemcami i Francją. Kierownicy polskiej polityki zagranicznej zdawali sobie dobrze sprawę z iluzoryczności głoszonych przez siebie frazesów, toteż w notatkach Szembeka trafiają się raz po raz otwarte wyznania, że nasz potencjał gospodarczy jest niewspółmierny do roli, którą chcemy odgrywać na arenie europejskiej, co zmusza nas do podporządkowywania się wielkim potęgom kapitalistycznym.

„Dziennik” Szembeka ułatwia nam zrozumienie, jak po Monachium i Pradze znikło przejściowe, koniunkturalne znaczenie czynnika polskiego dla polityki zagranicznej Niemiec hitlerowskich, co spowodowało postawienie nam brutalnego ultimatum w sprawie Gdańska i Pomorza, zrozumianego dobrze przez dyplomację sanacyjną jako żądanie wyrzeczenia się nawet pozorów samodzielności politycznej. Jednakże nawet w tym momencie wewnętrzna logika ustroju podyktowała odrzucenie jedynej drogi, która mogła jeszcze uratować kraj od kłęski, a mianowicie przyjęcia pomocy radzieckiej. Wyraził to dobrze Szembek, mówiąc w pewnym momencie, że wszelka współpraca ze Związkiem Radzieckim obalibyby tamy hamujące zalew przez falę rewolucyjną.

Wobec zupełnie sprecyzowanej groźby ze strony hitlerowskiej, rząd sanacyjny chwycił się złudnej deski ratunku w postaci zaoferowanej gwarancji brytyjskiej. Do ostatniej chwili ludził się nadzieją, że przy pomocy tego manewru skłoni rząd III Rzeszy do podjęcia rokowań, które by zabezpieczyły Polsce jakieś miejsce w koalicji antyradzieckiej. Jednakże, jak dziś wiemy, Anglia nie myślała nigdy poważnie o udzieleniu Polsce pomocy, a gwarancje dla nas traktowała jedynie jako środek taktyczny.

W ten sposób z powodu zaślepienia i antynarodowej polityki rządów sanacyjnych padliśmy ofiarą rozgrywek konkurencyjnych wewnątrz obozu imperialistycznego. Zapłaciłmy za to kłęską wrześniową.

Federico GARCIA LORCA

przeł. Mikołaj BIESZCZADOWSKI

PIOSENKA MURZYŃÓW Z KUBY

Kiedy wypłynie pełnia księżycy ruszę do Santiago de Cuba
ruszę do Santiago
w karocy z wody czarnej.
Ruszę do Santiago.
Strop gajów palmowych mi zagra
ruszę do Santiago.
Kiedy się palma przemieni w bociana,
ruszę do Santiago.
Kiedy meduza zechce być platanem
ruszę do Santiago.
Ruszę do Santiago.
Z głową jasną z Fonseca
ruszę do Santiago.
Z różą Romea i Julii
ruszę do Santiago.
Och, Kubo! Stóp stukot suchy!
Ruszę do Santiago.
Och, uścisku gorący i kropło madery!
Ruszę do Santiago.
Harfa z żywych gałęzi. Jaszczur. Kwiat nikotiany.
Ruszę do Santiago.
Przecie zawsze mówiłem, że ruszę do Santiago
w karocy z wody czarnej.
Ruszę do Santiago.
Wiatr i alkohol jest w kołach,
ruszę do Santiago.
Mój chorał płynie z ciemności,
ruszę do Santiago.
Morze roztopia się w piasku
ruszę do Santiago.
Biały żar, owoc martwy
ruszę do Santiago.
Och, woń trzód z gęstych chaszczy!
Och, Kubo! Konecho szlochań i prochu!
Ruszę do Santiago!

NOWOŚĆ

NOWOŚĆ



Th. Deman O. P.

CHRYSZTUS PAN I SOKRATES

przekład z jęz. francuskiego Z. Starowieyskiej-Morstinowej

Słowo wstępne napisał ks.
prof. E. Dąbrowski

Str. 234

Cena zł. 30.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX” Warszawa, Mokotowska 43,
za zaliczeniem pocztowym lub po wpłacie na konto PKO nr
I-8515 114 z dodaniem zł. 3.— na koszt przesyłki.

Dyktatura na wulkanie

Nazajutrz zrywa się potężna burza odwetu.

Ulice Bogoty stają w ogniu rewolucji; płoną domy, toczą się walki uliczne, w których główną siłą są „pueblo”, masy wyrobników wiejskich. Na salę konferencyjnej wybuchu konsternacja, błędy strach pada na warstwy posiadające Kolumbii. Ci, którzy sprowokowali zabójstwo, a należy się domyślać, że zrobili to konserwatyści, liczyli na okazje rozpętania prześladowań politycznych wobec lewicowych liberałów, działaczy związkowych i komunistów kosztem śmierci jednego człowieka. Tymczasem wydarzenia przyjęły groźny obrót dla burżuazji i ziemian kolumbijskich, a przez parę godzin zanosiło się na ludowy przewrót w kraju. Wojsko i policja stłumiły zaburzenia, którym brak było politycznego kierownictwa, ale demonstracja solidarności i siły szerokiej rzeszy ludności pracującej wskazała na istnienie nowej poważnej siły politycznej w życiu tego kraju i jednocześnie uprzytomniła wyzyskiwanym i poniewieranym milo nom, że w ich rękach leży los przyszłości kraju, ich własna dola i dola narodu.

9 kwietnia 1948 r. zamknął okres „demokracji” kolumbijskiej, czyli okres rządów, dzielonych na przemian przez liberałów i konserwatystów. Zaczęła od tej chwili rządzić jawnie i brutalnie pięść dyktatora Laureano Gomeza, ówczesnego szefa konserwatystów. Liberalizm zabarwił się na czerwono — argumentował Gomez — i obowiązkami mojego stronnictwa jest przywrócić „demokratyczny porządek” przy użyciu wszelkich środków.

Bezpośrednio po wydarzeniach w Bogocie zaczęły się w całym kraju represje: mordowano lewicowych liberałów, pozbawiano ich majątku, zastąpiono na wsiach liberalnych wójtów ludźmi Gomeza. Takimi środkami przygotowywano warunki do wyborów prezydenta w jesieni, które, rzecz zrozumiała, dały „zwycięstwo” Laureano Gomezowi.

Ale jednocześnie tysiące ludzi uciekało przed terrorem w góry i dzungle, tam organizowano oddziały partyzanckie do walki z przemocą i bezprawiem. Partyzanci zaczęli wojnę z policją i żandarmerią. Wojna ta

Przeciw konserwatyzmowi i izolacji

(Dokończenie ze str. 1)

katolicyzm polegał na ustawicznym dreptaniu w miejscu, jakby nie był żywotną, dynamizującą siłą. Jest więc dla perspektyw twórczości katolików niezbędne przełamanie konserwatyzmu opinii katolickiej, konserwatyzmu obywatelskiego i zniechęcającego twórców w ich poszukiwaniach. A nie trzeba chyba dodawać, że czas w których żyjemy, we wszystkich dziedzinach domagają się rzetelnego wysiłku twórczego.

I wreszcie trzeci postulat: twórczość katolików nie może zamykać się w izolowanym, zamkniętym świecie. Kultura jest zjawiskiem międzygrupowym. Istotnym kryterium wartości kulturowych wytworzonych przed daną grupą jest to, czy te wartości mogą być i są uznawane przez innych, czy mają atrakcyjną siłę. Mówimy często o uniwersalizmie katolicyzmu. Nie brak jednak takich katolików, dla których przekonanie o uniwersalizmie naszej religii jest właśnie powodem do obojętności na dorobek innych. Skoro w katolicyzmie — mówią — zawiera się cała prawda, po co szukać jej utamków gdzie indziej.

Uniwersalizm katolicyzmu jest faktem, ale jest równocześnie ogromnym zadaniem ciężącym na katolikach.

Nie wywiąże się z tego zadania ten, kto zamknie się w pewności posiadania całej, danej bez własnego wysiłku, gotowej prawdy. Te stwierdzenia posiadają szczególną wymowę w odniesieniu do twórczości katolików. Ukazują one konieczne związki, jakie zachodzą między wartościami kultury wytworzonymi przez katolików i niekatolików.

Dokończenie ze str. 8

kosztuje — według obliczeń znawców — około 1 miliona pesos dziennie i tysiące istnień ludzkich.

W okresie 5 lat konserwatyści zamęczyli przywódcę partii komunistycznej Julio Rincon, zabito Aurelio Rodrigęza, jednego z przywódców związków zawodowych, który stał na czele walki przeciw amerykańskiemu koncernowi naftowemu „Tropical Oil Company”, osadzono w więzieniu przywódcę robotników plantacji bananowych Carlosa Ariasa, który prowadził wyzyskiwanych przeciw rabunkowej gospodarce plantatorów i monopoli amerykańskich. Wtrącono do więzienia tysiące innych.

W tej chwili w Kolumbii istnieje taka sytuacja, że czołowi przywódcy stronnictwa liberałów siedzą w Bogocie, piszą opozycyjne artykuły i wygłaszają opozycyjne przemówienia, słowem działają legalnie, choć w ograniczonym bardzo przez terror policyjny zakresie. Liberalowie zbroj kotowali dwukrotnie wybory powszechne, protestując tym przeciw odebraniu części ich członków i sym patyków prawa wyborczego. Równoległa narasta walka wyzwolencza w kraju. Prześladowani liberałowie stanowią część kadr tej walki, ale błędem byłoby twierdzić, że wojną domową kieruje to stronnictwo. Walka wyzwolencza wyrasta niejako ponad głowy i działalnością kierownictwa liberałów w Bogocie, stając się nową siłą w kraju. Siła rewolucyjną zarówno w sensie społecznym, jak i politycznym, siłą wyrażającą zdrowe narodowe dążenia ludu kolumbijskiego.

KONTYNET „BAJKOWEGO METALU”

WALKA ludu kolumbijskiego, przejawiająca się jako wojna domowa, przeciw dyktaturze Gomeza, jest jednocześnie walką z amerykańskim imperializmem. W sprawozdaniu Komisji Gospodarczej ONZ dla Ameryki Łacińskiej za rok 1950 stwierdza się, że 4/5 wszystkich inwestycji zagranicznych w Kolumbii należą do Stanów Zjednoczonych, zagraniczne przedsiębiorstwa wydobywają w Kolumbii całą naftę oraz

ponad połowę złota, kontrolują wytwarzającą część przemysłu, cały eksport bananów i niemal cały system ubezpieczeniowy. Amerykańscy doradcy zasiadają we wszystkich ministerstwach Kolumbii, rządzą armią i policją. Amerykańskie monopole Standard Oil Company of New Jersey i United Fruit Company — sprawują rzeczywistą władzę w Kolumbii. Wpływy Amerykanów widoczne są w dziedzinie układów wojskowych, w życiu gospodarczym, w filmie i w literaturze. Rzecz oczywista, że ten stan rzeczy powoduje coraz większą niechęć narodów amerykańskich do imperializmu yankeesów.

Ameryka łacińska była krainą „bajkowego metalu”, który przyciągał w epoce wielkich odkryć awanturników hiszpańskich i portugalskich. Lecz bajkowy metal szybko się wyczerpał. Ameryka łacińska stała się wówczas krajem plantacji i kolonialnych, gdzie wielki posiadacz stara się wyciągnąć maksimum z ziemi. Ameryka łacińska staje się też ponownie krainą „bajkowego metalu”, lecz już nie złota i srebra jak poprzednio, lecz metalu XX wieku, żelaza, miedzi, i cyny. Nie wykryto tu węgla w większych ilościach, ale za to obfitość nafty i wielkie możliwości hydroelektryczne. Ameryka łacińska posiada więc wszystko, czego potrzeba, by stać się jednym z wielkich centrów przemysłowych świata. Polityka północnego sąsiada, nazywana jakby dla ironii polityką „dobrego sąsiedztwa”, wciąż jednak utrzymuje Amerykę łacińską w charakterze dostawcy surowców i taniej siły roboczej, hamuje rozwój przemysłowy tego kontynentu i zwalcza wszystkimi metodami próby wyzwolenia się krajów i narodów łacińskich spod zależności kolonialnej. Nie ma prawie przewrotu, w którym nie brałyby udziału amerykańskie monopole lub amerykańskie placówki dyplomatyczne.

Ale przeciwko hegemonii Stanów Zjednoczonych na łacińskim kontynencie oraz ich rodzimym ekspozytantom, przeciw rządowi i dyktatorom rozpoczyna się w Ameryce łacińskiej potężna walka. Można ją nazwać drugą walką o niepodległość narodu. Pierwsza w początkach XIX wieku uwolniła kraje łacińskie spod jarzma hiszpańskiego i portugalskiego. Druga zaczyna się obecnie, o niezależność krajów i wolność obywatelską, o nowy ustrój społeczny i polityczny. W tej walce elementy konserwatywne, a zwłaszcza wiecei właścicieli ziemscy przeciwni wszelkim zmianom, stoją po stronie Stanów Zjednoczonych i krajowych reżimów.

Po drugiej stronie frontu walki w Kolumbii mobilizują się masy pracujące i elementy patriotyczne spośród mieszczaństwa. W Kolumbii dyktatura Gomeza staje się z każdym rokiem brutalniejsza i ostatnio sięga po kontrolę nad życiem gospodarczym, stając się dyktaturą totalną. Jednocześnie jednak rośnie ruch narodo-wyzwoleniczy i umacnia swoje pozycje stając się ruchem coraz bardziej świadomym swych celów. Moment kryzysu zbliża się. Doświadczenia uczą, że zwyciężać w tej walce będą masy narodu kolumbijskiego. Dyktatura Gomeza jest dyktaturą na wulkanie.

W chwili łamania numeru nasza donosi z Bogoty, że naczelny dowódca sił zbrojnych Kolumbii, gen. Gustavo Rojas Pinilla, dokonał zamachu stanu. Stolica Kolumbii Bogota znajduje się pod całkowitą kontrolą wojsk generała Pinilla, który zajął pałac prezydencki i konferuje z wyższymi dowódcami kolumbijskich sił zbrojnych. Choć nie są dotąd znane okoliczności zamachu stanu, wypadki te są wyrazem postępującego rozkładu stronnictwa rządzącego.

Andrzej Krasinski

Michał Piwowarczyk

JAN JÖRGENSEN

(Dokończenie ze str. 7)

nym i powiązaniem drutami, gdzie zabrakło już ściągaciami”. U Drachmana romantyzm jest drogą do szczęścia, u Brandesa zaś tylko „drogą do blichtru szczęścia”. Podobnie w „Verze” między swą krytyką resztę utworów biata srogiego Jowisza literatury duńskiej. Spośród dalszych szkiców wymieniam tylko poświęcone późniejszemu laureatowi nagrody Nobla, Karolowi Gjellerupowi i znane mu powieściopisarzowi Hermanowi Bangowi. W osobnej pracy literackiej Jörgensen zajmując omawia „Romantyzm w nowoczesnej literaturze duńskiej”. Na zamówienie niemieckiego wydawcy napisał również historię literatury duńskiej.

Zbiór zatytułowany „Zima w Rzymie” (1902 — 1903) to ciekawy i barwny wachlarz zarówno spostrzeżeń, jak rozmyślań autora nad „Barbarzyństwem”, „Kulturą”, nad czytaniem dobrych książek. Nadesłana Jörgensenowi książka Alfreda Ipsena o Jerzym Brandesie nastęrcza mu sposobność do przemyslenia własnego stosunku do tego potentata literatury. „Ci, co nas poprzedzali — pisze Jörgensen — głosili przy odgłosie fanfar prawo życia, proklamowali siebie jako reprezentantów młodości. Młodość ta snuła poezję o śmierci, o ziemie, o tym wszystkim, co przynosi zniszczenie, co ginie — o wszystkim, co prawdą nam się tylko wydawało...” Ipsen widzi to w swej książce, a Jörgensen nie ma do tego nie więcej do dodania.

Szereg pism Jörgensena wkracza w dziedzinę filozofii. Przytaczam tu tylko znane w polskim przekładzie Wolańskiego „Kłamstwo i prawda życia” oraz „Przypowieści”, które wybitny krytyk francuski polskiego pochodzenia, Teodor de Wyzewa, nazywa najpiękniejszym i najpoetyczniejszym z tego, co napisano na temat spraw duchowych.

Obraz twórczości Jörgensena nie byłby wykończony, gdyby nie wspomniano — last not least — o przebogaty zbiórze jego listów z podróży. Z przekładu Wolańskiego zna na jest jego „Rejse-Bogen” (Z podróży), książka, w której wrażenia podróżne przetykane są gęsto refleksjami nad doniosłością katolicyzmu. W „Legendzie mego życia” przyznaje Jörgensen, że pisząc tę książkę zbyt jednostronnie osądził duchowość świata pruskiego, który go dotąd wabił swą Walhalą, swym germańskim mistycyzmem. Mam jednak na myśli nie tyle tę pracę, ile korespondencje do kopenhaskich pism „Vort Land” i „Berlingske Tidende” ze wszystkich niemal zakątków Europy — z Niemiec, Belgii, (gdzie przez pewien czas był w Lowanium profesorem estetyki), z Francji, Anglii, Włoch, Austrii, Szwajcarii, Szwecji, ba nawet Serbii, skąd przed stawia nastroje patriotycznej ludności w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej. Listy te, prawdziwe perełki stylu, tętnią bystro zaobserwowanym życiem, skrzępi się barwną mozaiką ciekawych swą tematyką obrazów, płoną blaskiem południowego słońca, dźwięczą melodią belgijskich dzwonów zegarowych, tętną nastrojem włoskich wieczorów i poranków, gajów cyprysowych i winnic, tętnią życiem bawarskiej piwni i włoskiej wiejskiej „albergo”.

Pisząc o Jörgensenie trudno pominąć milczeniem dwie postacie, które w rozwoju religijnym duńskiego poety odegrały rolę decydującą. Jedną, najważniejszą, jest Mogens Ballin, latami znacznie od Jörgensena młodszy — syn majątnych rodziców, który jako student paryskiej Akademii Sztuk Pięknych na ulicach miasta światła „zetknął się — jak ktoś napisał — z największym przedstawicielem swego narodu i przypadł do jego stóp”. Wrażliwy na piękno młodzieńiec przywarł do poety całym sercem po przeczytaniu toniku jego „Stemninger” (Nastroje). Stał się dla Jörgensena nie tylko przyjacie-

lem, lecz i mężem opatrznościowym. Razem z zaprzyjaźnionym z sobą malarzem holenderskim Verkadem, wystawiającym swe obrazy w Kopenhagie, — późniejszym zakonikiem, umożliwił znajdującemu się wprost w nędzy pocie wyjazd za granicę. I później służył mu niejednokrotnie pomocą finansową i moralną, a największą przysługę oddał mu, zapraszając go do siebie na pobyt w Assyżu. Po zwiedzeniu Lucerny, Rapallo, Lucci i Pistoii, gdy Jörgensen całocięwo zainteresował się (dzięki otrzymanej przypadkowo książce Chavina de Malansa, św. Franciszkiem, gdy 25 lipca 1894 r. wyrwała się z jego piersi „prima preghiera alla Madonna, con sentimento profondo” — z funduszu stypendialnego na podróż pozostało mu tylko tyle, ile starczyło na podróż powrotną do Danii. I wówczas otrzymał od Ballina z Assyżu list, w którym pisze m.in.:

„Jeżeli Bóg tak zrzędził, że Pan nie ma już pieniędzy, stało się to dlatego, abym ja mógł okazać swą gościnność. Niech Pan przyjeżdża do mnie do Assyżu, zamieszka u mnie, pożywia się przy moim stole. Dzielić się będę z Panem jak bracia. Pozostanie Pan u mnie, jak długo zechce Francesco”. (Imię chrzestne Ballina, pisane zawsze przez małe „f” z czci dla wielkiego świętego imiennika).

Listem tym Ballin utworzył Jörgensenowi drogę do — nieba. Poeta duński przybył do Assyżu po raz pierwszy i pokochał miasto to całym sercem. Poznał równocześnie do głębi świętość Bożego Igrca. Dzięki temu listowi w dniu 16 lutego 1896 roku składa w Kopenhagie wobec O. Brinkmana uroczystą przysięgę, że „chcę żyć i umrzeć w świętej wierze katolickiej”.

Jan Jörgensen, niedaleki już dziewięćdziesiątki, po latach ciężkich walk wewnętrznych i okresach przykrej niedoli materialnej, żyje dziś szczęśliwie i spokojnie jako honorowy obywatel Assyżu, w mieście ukochanego swego świętego Franciszka — znany tam i ceniony przez wszystkich mieszkańców jako „signor Giovanni”. Żyje szczęśliwy, gdyż dawniejsza jego „anima anceps”, płacząca w poręczach, podlegająca wahaniom i wabiona przez germańskich bogów, zatonała w świetle miłości, którą ludzi i wszystko, co żyje, ukochał św. Franciszek. Tylko pod jednym względem staje się może jeszcze cokolwiek „anceps”, rozdwojona. Wówczas, gdy z ukochanego miasta, ze słonecznej Italii, ułata „Poza wszystkie te błękitne góry” — tytuł jednego ze zbiorów jego felietonów — do dalekiej, północnej Danii i rodzinnego miasteczka portowego, do Svendborga.

Tadeusz Powiżński

* PAX *

Krystyna Wróblewska
OJCZE NASZ
Drzeworyty Cena zł 36.-

J. Nowak-Dłużewski
STANISŁAW KONARSKI Cena zł 20.-

Graham Greene
BRON NA SPRZEDAŻ Cena zł 22.-

ARKUSZE POETYCKIE
10 Autorów Cena zł 12.-

Paweł Jasienica
WISLA POZEGNA ZASCIANEK Cena zł 20.-

G. K. Chesterton
PRZYGODY KS. BROWNA Cena zł 18.-

Wysłać Biuro Sprzedaży „PAX”,
Mokotowska 43, Warszawa, za za-
liczeniem pocztowym lub po wpła-
cie na konto PKO Nr I-8315 z dodaniem
3.- na koszt przesyłki.

Kilka słów o:

teatrze

SPRAWA RODZINNA W PRADZE



W początkach czerwca odbyła się w Teatrze Kameralnym w Pradze premiera sztuki Jerzego Lutowskiego — „Sprawa rodzinna”. Na przedstawienie przybyli wicepremierzy CSR, J. Uher i O. Beran, Prezydent miasta Pragi, Vacek, oraz przedstawiciele Ambasady PRL w Pradze. Obecnie na premierze autorowi sztuki publiczność zgotowała serdeczną owację.

SZTUKA BERNANOSA NA SCENACH PARYŻA I AMSTERDAMU

Volkstheater w Amsterdamie wystawił ostatnio holenderską wersję świetnej sztuki Jerzego Bernanosa „Dialogues des Camelites”. Reżyserowała ją Marcelle Tassencourt, doskonałe dekoracje i stroje zostały zaprojektowane przez M. Jriszena.

Warto tu jeszcze dodać, że dzieło Bernanosa wydane dopiero po śmierci pisarza, jest obecnie grane również w Paryżu, gdzie cieszy się wielkim powodzeniem.

WIEJSKI TEATR LUDOWY

Wielką popularnością we wszech Bułgarii cieszy się Wiejski Teatr Ludowy założony w roku 1947 z inicjatywy Bułgarskiej Partii Komunistycznej. Od chwili powstania teatr dał ponad 1500 przedstawień w przeszło 1200 wsiach bułgarskich. Duże powodzenie mają współczesne sztuki dramatyczne bułgarskich, takie jak „Bez między” N. Miosoczkowa — sztuka o wyższości gospodarstwa kolektywnej; „Ukryty wróg” P. Stypowa — o walce z wrogą działalnością szpiegowską; „Słuszną drogą” N. Szirowa-Tarana, której tematem jest socjalistyczna przebudowa Bułgarii.

FESTIWAL MŁODYCH ROBOTNIKÓW

W Moskwie odbyły się niedawno końcowe eliminacje amatorskich zespołów artystycznych uczniów szkół zawodowych Moskwy. Eliminacje trwały dwa miesiące. Wzięło w nich udział przeszło 8 tysięcy

cy młodych robotników. W szkołach rzemieślniczych Moskwy istnieje przeszło 100 starych chórów, kół choreograficznych i dramatycznych. Najwybitniejsi artyści — tacy, jak Igor Moisiejew, Aleksander Swiesznikow, Serafima Birman i wielu innych opiekują się kołami; państwo dostarcza im bezpłatnie instrumentów muzycznych, kostiumów, dekoracji.

Na eliminacjach końcowych wystąpił połączony chór, składający się z 450 młodych uczestników. Duże zainteresowanie wzbudził program zespołu wokalnego chłopców, którzy wykonali pieśni kompozytorów radzieckich oraz chór z opery „Carmen” Bizeta.

FREDRO NA SCENACH POLSKICH

Żelaznym repertuarem teatrów całego kraju są sztuki Aleksandra Fredry. Ostatnio w wielu teatrach odbyły się premiery ciekawie opracowanych sztuk Fredrowskich. Teatr Polski w Szczecinie wystawił „Damy i huzary” w reżyserii E. Chaberskiego, Teatr Ziemi Pomorskiej — komedię „Wielki człowiek do małych interesów” reżyserowaną przez M. Szczepkowską; Teatr Dramatyczny we Wrocławiu — „Męża i żonę” w reżyserii Przeradzkiej. W Warszawie — oprócz świetnie wystawionej w Teatrze Narodowym „Zemsty” z Kurnakowiczem i Opalińskim w reżyserii B. Korzenińskiego — oglądać będziemy „Śluby panińskie” w Teatrze Nowej Warszawy.

—filmie

DWA NOWE FILMY GERARD PHILIPPE'A



Znany reżyser francuski Yves Allegret realizuje obecnie w Meksyku sceny pełnometrażowego nowego filmu nakręconego według znanej sztuki Sartre'a „Les Orgueilleux”. W rolach głównych wystąpią świetni aktorzy francuscy, Gérard Philippe i Michelle Morgan.

Gérard Philippe grać będzie także w najnowszym filmie angielskim René Clément, zatytułowanym „M. Ripois et la Nemesis”. Scenariusz tego filmu

oparty został na powieści pisarza francuskiego, Louis Hémon.

—muzyce

BALET MŁODEGO KOMPOZYTORA



W Leningradzkim Akademickim Teatrze Opery i Baletu im. Kirowa odbyła się premiera nowego baletu radzieckiego, „Poła ojczyście”, którego tematem jest życie młodych kołchoźników. Jest to wyróżniona praca dyplomowa absolwenta konserwatorium leningradzkiego, N. Czerwinskiego. W balecie tym młody kompozytor szeroko wykorzystał motyw ludowy. Premiera nowego baletu stała się jego wielkim sukcesem.

SZWEDZCY MUZYCY W MOSKWIE

Niedawno mieszkańcy Moskwy mieli możliwość usłyszenia kilku koncertów wykonanych przez szwedzkich muzyków. M. in. 26 maja w Małej Sali Koncertowej wystąpiła szwedzka pianistka, Greta Erikson, która wykonała na fortepianie utwory Beethovena, Skriabina, Szumanna i szwedzkich kompozytorów, Paula Szurbeka i Dag Wirena.

Publiczność stolicy Zw. Radzieckiego gorąco przyjęła występ solisty opery sztokholmskiej, B. Sonnerstedta, który wykonał w sali koncertowej im. Czajkowskiego szereg utworów kompozytorów szwedzkich.

MIĘDZYNARODOWY KONKURS MUZYCZNY W PARYŻU

W Paryżu odbywa się obecnie Międzynarodowy Konkurs Muzyczny im. Marguerite Long i Jacques Thibaud. Udział w konkursie wezmą również artyści polscy: B. Hesse-Bukowska, L. Grychołtówna oraz E. Statkiewicz.

Dn. 18 czerwca zakończył się konkurs skrzypcowy, w którym pierwsze miejsce i Wielką Nagrodę zdobyła skrzypkarka radziecka, N. Szkolnikowa. Drugą nagrodę została podzieliła między R. Sobolewskiego (ZSRR) i Blanche Tarjus (Francia). Edward Statkiewicz (Polska) zajął siódme miejsce.

Sąd konkursowy przyznał ponadto skrzypczce radzieckiej, N. Szkolnikowej specjalną nagrodę im. Ginette Nevenx za wykonanie podczas konkursu koncertu skrzypcowego Czajkowskiego.

Konkurs pianistów rozpoczął się 14 czerwca; bierze w nim udział 89 pianistów z 23 krajów.

WYSTĘP ORKIESTRY 7 PUŁKU HUZARÓW BRYTYJSKICH W WARSZAWIE

8 bm. w Teatrze Narodowym odbył się zorganizowany przez Dom Wojska Polskiego koncert przebywającej w Warszawie orkiestry 7 pułku huzarów brytyjskich.

Brytyjska orkiestra wojskowa przybyła do Warszawy w związku z urzędowym przez ambasadę brytyjską w Warszawie przyjęciem dla uczczenia koronacji królowej Elżbiety II.

Orkiestra brytyjska wykonała m.in. utwory Fryderyka Chopina i kompozytorów radzieckich.

—Plastyce

WYSTAWA DZIEŁ PICASSA W PARYŻU



W Paryżu w Galerie Louise Leiris otwarto wystawę ostatnich dzieł Pabla Picassa. Artysta obecny na otwarciu wystawy „incognito” przesuwając się między tłumami swoich wielbicieli mógł ocenić osobiście, jak wielkim powodzeniem cieszą się jego obrazy.

LETNIA WYSTAWA MALARSKA W MOSKWIE

Dużą sensacją w kołach artystycznych Moskwy budzi otwarta niedawno wystawa letnia artystów stolicy. 300 płócien zgromadzonych w salach wystawowych Moskiewskiego Towarzystwa Sztuki ściąga co dzień tłumy miłośników malarstwa.

WIECZÓR KU CZCI KOPERNIKA W MOSKWIE

Dn. 3 czerwca w Akademii Nauk w Moskwie odbyło się zebranie poświęcone pamięci Kopernika, na którym po słowie wstępnym przewodniczącego Akademii A. Nieśmiejana wygłoszono kilka referatów o życiu i twórczości wielkiego polskiego uczonego.

W zebraniu tym wziął udział Ambasador P.R.L. W. Lewikowski i pracownicy polskiej ambasady w Moskwie.

Jednocześnie w Akademii Nauk zorganizowano ciekawą wystawę, na której pokazano wydawnictwa kopernikowskie, które ukazały się w Zw. Radzieckim i zagranicą.

ROZNIKA URODZIN LWA TOLSTOJA

W związku z przypadającą w wrześniu br. 125 rocznicą urodzin klasyka literatury rosyjskiej, Lwa Tolstoja. Związek Pisarzy Radzieckich utworzył Wszelchwiązkową Komisję Jubileuszową pod przewodnictwem K. Fiedina. Na odbytym w dniu pierwszym czerwca posiedzeniu Komisji nakreślono plan uczczenia pamięci wielkiego pisarza.

Jubileusz Tolstoja odbędzie się w całym kraju. W Akademii Nauk ZSRR przygotowywana jest Sesja Naukowa poświęcona spuściznie literackiej Lwa Tolstoja. W dniu Jubileuszu na ekranach kin Związku Radzieckiego będą wyświetlane dokumentalne filmy o Tolstoju i sfilmowane utwory pisarza. Wiele wydawnictw radzieckich przygotowuje nowe ogromne nakłady dzieł Tolstoja. Moskiewskie Państwowe Wydawnictwo Literaturne Pięknej wyda dzieła Tolstoja w nakładzie około 5 milionów egzemplarzy.

—wszystkim

NAGRODY PREZESA RADY MINISTRÓW ZA TWÓRCZOŚĆ DLA DZIECI

6 czerwca w Min. Kultury i Sztuki odbyła się uroczystość wręczenia nagród Prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży, przyznanych z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka.

Wreczenia nagród dokonał min. Kultury i Sztuki, W. Sokorski. Nagrody w wysokości po 10.000 zł otrzymali: w dziedzinie literatury — J. Porazińska i E. Szelburg Zarembina, w dziedzinie muzyki — M. Kaczurkina oraz w dziedzinie plastyki — A. Bunsch.

LICZNE IMPREZY TEGOROCZNYCH „DNI KRAKOWA”

6 bm. rozpoczęły się tradycyjne „Dni Krakowa”, które trwać będą do 10 lipca. Przemówienie inauguracyjne wygłosił przewodniczący krakowskiej M.R.N. — Waligóra. Przy dźwiękach fanfary wciągnięto na maszt sztandar „Dni Krakowa” — z symbolem pokoju — białym gołębkiem na błękitnym tle.

Na program tegorocznych „Dni Krakowa” złożą się m.in. przedstawienia Opery Bytomskiej, recital fortepianowy Czerny-Stefańskiej, koncert Wielkiej Orkiestry Symfonicznej PR, występ baletu „Małwy”, tradycyjny Lajkonik i wiązki.

Zorganizowane zostaną również liczne wystawy, wśród nich kopernikowska w Collegium Maius, książki renesansowej w Bibliotece Jagiellońskiej, matejkowska w sali Hołdu Pruskiego.

CZU-YUAN

Bóstwo słońca

Słońce darzące blaskiem wolno powstaje na wschodzie
Nad świętym gajem się chyli, nad murem mego domu
Bo oto noc już pierzcha, by światłu miejsce oddać
Śmiało powściągam cugłami krok mych gwałtownych koni
Piorun zaprzęgam do wozów zbrojnych, jak wielkie smoki
Wlokę za sobą chmury niby korowód chorągwi
Wzdychając głęboko wychodzę na wielki sklep niebiosów

Śmiertelni śpiewają na ziemi pośrodku gwarych widowisk
Niechając domy rodzinne, oddani uciechom biesiady



Wśród grania fletów i dzwonów i trąb z zielonej glinki
Dźwięczą naczynia z popiołem, piszczałki wchodzą do chóru

I widzę świętych magów, gdy pełni skupionej rozwagi
Diademy tworzą z magicznych i szmaragdowych wstążek
I poczynają pisać i szepczą poematy
Rytmiczne i odmierzone należnym iloczajem

I widzę gromady nędzne tych, którym chleb zatruto
Płynę przez pola jałowe spalone ogniem wojny
Dzieci schną jak rośliny, deszcz łez opada z ich oczu
Lud chiński płacze, jak burza wzniecona gniewem niebios

Słońce oto przyćmione powolnym przelotem aniołów
Na błysku tęczy pod ciżbą ciemniejących obłoków
Unoszę drzewce włóczni, aby Psią Gwiazdę porazić
Potem trzymając nad głową mój łuk powracam pośpiesznie
Z Gwiazdy Północnej rozlewam cynamonowe wino
Mój koń bitewny się wzdraga i gniewny staje dęba
A droga moja wieczyste biegnie na wschód — samotna

Nieudana inwazja

W Paryżu zorganizowano niedawno pokaz dwóch filmów amerykańskich szumnie reklamowanych jako najnowsza „trójwymiarowa superprodukcja”. Miało to być wydarzenie równie przełomowe dla kinematografii francuskiej, jak w roku 1928 pamiętny pokaz „Spiewaka jazzu” — pierwszego filmu dźwiękowego.

Okazało się jednak, że wartość artystyczna filmu i ciężar gatunkowy treści są dużo ważniejszymi elementami powodzenia niż ponad miarę reklamowane innowacje techniczne. W tym samym czasie wyświetlany w Paryżu doskonały film Clouzota „Cena strachu”, zrealizowany „starym systemem” na taśmie czarno-białej, cieszy się powodzeniem nieporównanie większym niż przereklamowane filmy trójwymiarowe. Trzeba dodać, że wbrew temu, co głoszą reklamy, system filmu stereoskopowego lansowany w tej chwili w Paryżu nie jest ani najnowszy, ani pierwszy, gdyż w Moskwie od roku 1941 istnieje kino wyświetlające filmy tym systemem, na Węgrzech i w Anglii system ten ma też już od dawna zastosowanie.

Trójwymiarowe filmy amerykańskie „Diabeł Bwana” i „Żyłem dwa razy” nie mogły wzbudzić sensacji również dlatego, że są nadszpiewywane słabe technicznie, „Realizm trójwymiarowy” niektórych scen budzi przeciwne od zamierzonych efekty, scena pożerania ludzi przez lwy w jednym z tych filmów, zamiast grozy, wywołuje huragan śmiechu.

Tu próba inwazji Francji przez superprodukcję amerykańskich filmów trójwymiarowych poniosła wielką klęskę. Niedługo spodziewany jest nowy atak monopolu amerykańskich, lansujący łatwiejszy do zastosowania system filmów panoramicznych.